

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobięcy

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 21 STYCZNIA 1928 ROKU

NR 4

TREŚĆ NUMERU: Przybywajcie! — *Natalja Jastrzębska*. Ś. p. Antoni Osuchowski — *Stefanja Podhorska-Pkółów*. Wiersze: „Listy”, „Nikotjany” — *Wiktorja Rymwid-Mickiewiczowa*. Świat w słoiku — *Ewa Szelburg*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Impresje kościelne — *Zygmunt Knothé*. Z teatrów — *S. P. O.* Z życia ekranu — *Stef. H.* Z życia muzycznego — *P. L.* Kobieta w świecie i w domu — *H. S. i N. J.* Psychologia mody (dok.) — *Dr. Stefanja Zahorska*. Cośnecóż o narciarstwie (dok.) — *L. R.* Gastronomia po przez wieki (dok.) — *S. S.* Pomysłowość w kuchni — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Przegląd karnawałowy — *Well*. Korespondencje. Dodatek: „Mody i Roboty”. Krynoliny — *Well*. Jak zużytkować resztki sukna, jedwabiu i aksamitu. Dodatek powieściowy: „Młyny Postoła” — *Jordan Jowków* — autoryzowany przekład z bułgarskiego — *Jad. Gr. Arkusz wzorów*.

PRZYBYWAJCIE!

Któż nie interesuje się historją i stanem naszej emigracji w Ameryce!

Nawet w czasach niewoli, gdy pozbawieni własnej państwowości, nie mogliśmy marzyć nietylko o jakiegokolwiek polityce emigracyjnej, ale nawet o utrzymaniu racjonalnego kontaktu z wychodźstwem; gdy cenzura prasowa nie dopuszczała wprost szerszych wieści o działalności i organizacjach naszych rodaków za oceanem — nawet wtedy śledziliśmy zawsze ich czyny, cieszyliśmy się ich powodzeniem i troskali — czy też nie zapomną o ojczyźnie, a każda wieść o polskich organizacjach, o ich rozwoju, ich pamięci o Polsce — przejmowała nas radością i otuchą, że tam, na drugiej półkuli, istnieje wielki i dzielny odłam społeczeństwa, który pracą zdobywa szacunek i powodzenie wśród obcych, pielęgnuje ducha



P. Emilia Napieralska

narodowego i kiedyś stanie z nami ramię przy ramieniu w polskiej sprawie.

Nie zawiodły [nas nadzieje. W chwili odrodzenia polacy amerykańscy okazali się naszymi braćmi i godnymi synami i córkami ojczyzny, i od tej chwili też nawiązywać się zaczęły coraz ciaśniejsze stosunki i rozpoczęły się zbiorowe wycieczki z Ameryki do Polski. W r. 1925 przybyli do nas Sokoli i Sokolice, witani całym sercem i przyjmowani, jak najukochańsi goście. Obecnie organizuje się pielgrzymka polek do Polski. W tym celu przybyła w zeszłym tygodniu do Warszawy przewodnicząca Związku Polek w Ameryce, p. Emilia Napieralska.

Z prawdziwą radością przyjąłam polecenie redakcji zobaczenia się z wybitną działaczką emigracji, powitania jej w imieniu „Bluszcza” i zapyta-

nia o termin i szczegóły przyjazdu drogich gości. Słyszając i czytając już wielokrotnie o p. Napieralskiej, jako „długoletniej“, niezmordowanej leaderce Związku Polek, sądziłam, że zastanę jakąś b. poważną wiekiem osobę; tymczasem — o dziwo! — w wytwornym saloniku hotelu Europejskiego przyjmuje mnie przemiła kobieta, uosobienie ruchliwości, energii, pełna prostoty, ujmująco wesoła i... zupełnie młoda!

Droga, kochana rodaczko! — jakże wcześniej zacząć musiałas Twą służbę społeczną, którą pełnisz już 17 lat!

„Zaczęła się ta prędką, zmieszana rozmowa, w której dzieje lat wielu chciano zamknąć w słowa“.

Mogłoby być inaczej! Chciałabym dowiedzieć się wszystkiego, o wszystko wypytać: i o przewodniczącą pracy, i o Związek, i o tę — tak trafnie i serdecznie przez inicjatorkę nazwaną — „pielgrzymkę“

A tymczasem słyszę zaraz na wstępie ciepłe, miłe słowa dla „Bluszczu“! p. Napieralska mówi, że od dziecka zawsze „Bluszcz“ w domu rodziców czytywała i pamiętała.

Wyrażam swój podziw nad doskonałą wymową p. Napieralskiej, która przecież urodziła się w Ameryce.

— Cóż dziwnego: przecież jestem polką i wnuczką powstańca! — odpowiada z dumą.

Chciałabym zebrać jaknajwięcej szczegółów o Związku — jego rozwoju i działalności. Przypuszczam, wprawdzie, że Sz. Czytelniczkom „Bluszczu“ nie są te sprawy obce, ale gdy o dziejach tej organizacji mówi osoba, która z zapałem, niezmordowaną energią i umiłowaniem pracuje w niej od lat 17, — powie o nich napewno najciekawiej i najlepiej.

— Związek nasz — mówi p. Napieralska — to pierwsza i jedyna wielka instytucja kobiety polskiej w Ameryce, nasza „Alma mater“, gmach serc kobiet polskich. Celem jego jest stworzenie na wychodźstwie przystani narodowej, dla krzewienia ideałów i ducha przodków, utrzymania łączności z ojczyzną, od której ciągle i pilnie nasłuchujemy wieści, łączymy się z nią we wszystkich jej bólach, w radościach i pracach, i dążymy do niej, jak do matki, po pokrzepienie serca.

— Oparta na tych ideałach, na tej myśli przewodniej, organizacja nasza powstała w tych czasach, gdy jeszcze, nawet w Ameryce, przyjmowano poczynania kobiet z uśmiechem pobłażania, lub politowania. Dnia 22 maja 1898 roku w Chicago garstka kobiet polskich założyła „Związek Polek w Ameryce“. Pierwszą prezeską była Stefanja Chmielińska. Odrazu też zaczęto organizować oddziały, t. zw. grupy, najpierw w różnych dzielnicach Chicago, a potem coraz dalej i szerzej, w całych Stanach. W tymże roku odbył się pierwszy Sejm Związku, na którym obrano formalnie zarząd i uchwalono opodatkować się na „Skarb Rapperswylski“ i na pomnik Kościuszki. Prócz pracy ideowej, Związek zakreślił sobie plan działalności samopomocy materialnej. Zaraz na początku, gdy zda-

rzył się pierwszy wypadek śmierci wśród członkiń, których było zaledwie 68 — zebrano odrazu składkę po dolarze i wypłacono rodzinie zmarłej. Dziś nasz fundusz ubezpieczeniowy jest organizacją, która wypłaciła milion dolarów zapomóg pośmiertnych!

— Tak samo gorliwie zabrano się do stworzenia siedziby własnej. Początkowo lokalem Związku był mały, stary domek drewniany — obecnie posiadamy własny gmach, w którym mieszczą się sale zebrania: jedna na tysiąc osób, druga — na trzysta, — biblioteka, czytelnia, drukarnia, biuro zarządu, kuchnie i t. p. Dom ten własny istnieje od 1912 r. A odbywają się w nim stale zebrania i obchody: Związku Polek, Związku Narodowego, Śpiewaków, Sokołów, Stow. Kupców i Przemysłowców, Kółek literackich, Spółek oszczędnościowych. Tam też była pierwsza stacja rekrutacyjna dla armji polskiej, dla Czerwonego Krzyża amerykańskiego, polskiego Białego Krzyża, Komitetu ratunkowego. Tam odbywały się pierwsze zebrania w sprawie odzyskania wolności Polski, na które przyjeżdżali rodacy z całych Stanów i z Europy. A gdy poraz pierwszy w historii wolnej ojczyzny przybył do Chicago konsul generalny polski, pan Zygmunt Nowicki, — Związek ofiarował swoją siedzibę przedstawicielowi Rzeczypospolitej; nie można, bowiem, było narazie, wobec powojennych stosunków, wynająć odpowiedniego gmachu, i w domu Związku Polek był pierwszy polski konsul w Chicago.

— Przez cały czas wojny organizacja nasza nie ustawała w pracy, wysyłając dla Polski ofiary, żywność i pieniądze; od r. zaś 1917, od chwili przystąpienia Ameryki do wojny, założono szkołę pielęgniarek, urządzano masowe zebrania, rekrutujące ochotników. Cała prasa amerykańska wyraziła wtedy Związkowi słowa uznania; a gdy grupka szowinistów zaczęła na zebraniu prasy w Nowym-Jorku żądać zniesienia prasy obcojęzycznej w Ameryce, — po przemówieniu sekretarki Związku (była nią wówczas p. Napieralska), generał Dupont i dziennikarz Brisbane złożyli wymowny hołd Związkowi Polek, stawiając go jako przykład owocnej i zasłużonej pracy obcych narodowości w Ameryce.

— Po utworzeniu armji polskiej, dom Związku stał się centrem pracy dla armji. Wysyłano stąd dary dla żołnierzy: pieniądze, ubranie i żywność, i wręczono pierwszemu pułkowi sztandar od kobiet polskich.

— Na pierwszym sejmie wychodźstwa polskiego w Detroit Związek Polek zapoczątkował ofiarą tysiąca dolarów fundusz 10-cio milionowy polaków amerykańskich dla Polski. Na następnym sejmie ofiarował Związek 5 tys. dol. dla Śląska.

— Nasz obecny „stan posiadania“ — to zgórą 42 tysiące członkiń, zorganizowanych w 525 grupach; majątek Związku przekracza 2 miliony dolarów. Na sprawy narodowe i społeczne złożył Związek przeszło sto tysięcy dolarów. Mamy własne pismo „Głos Po-

lek“, pod redakcją Marji Kryszak. Członkinie nasze organizujemy „od kolebki—do grobu“, mamy, bowiem, dział małoletnich, t. zw. „wianki“. Od chwili urodzenia wprowadzać można dzieci, jako ubezpieczone; z czasem młode dziewczątka tworzą oddzielną grupę wianek, zwykle pod nazwą kwiatów. Te nasze „konwalje“, „chabry“, „fiolki“, „tulipany“—to nasze polskie serduszka, złączone z nami przez całą nić żywota w pielęgnowaniu ducha polskiego, miłości i wiary!

Dziękując za to piękne streszczenie historii i działalności Związku, chciałabym jeszcze mieć trochę szczegółów o jego obecnej przewodniczącej, ale... tu zaczynają się piętrzyć trudności: pani Napieralska nie chce mówić o sobie. Musiałam więc poradzić sobie inaczej i z innych źródeł podaję kilka najwybitniejszych szczegółów z działalności p. Napieralskiej.

Nasza dzielna rodaczka pracuje w Związku od r. 1910. Początkowo, jako sekretarka generalna, od lat kilku—jako przewodnicząca. We wszystkich grupach, rozsianych w ogromnej liczbie miast Ameryki, reprezentuje organizację, prowadzi, inicjuje, zachęca do pracy i wszędzie zjednała sobie miłość i uznanie. Wczynie kongresu w Hadze, podczas wojny, p. Napieralska, wówczas sekretarka generalna, wyjechała do Hagi, by stanąć tam w obronie Polski imieniem Związku i licznych towarzystw polaków amerykańskich, którzy dali jej mandaty i rezolucje. A było to prawie z narażeniem życia, gdyż wtedy właśnie flota niemiecka zatopiła „Lusitanię“.

Wystąpieniem swem w Hadze, przemówieniem, że „na świecie nie będzie pokoju, dopóki narody uciesnione i trzymane w niewoli nie otrzymają wolności; dopóki Polska, zniewolona do oddania najlepszej swej młodzieży do armij trzech wrogów, nie będzie wolna między innymi narodami“,—przemówiła delegatka do serc i sumień reprezentantów wszystkich krajów, udowadniając, że duch polski żyje, i młodzież, pozagranicami ojczyzny urodzona, zna i kocha ojczyznę i nie ustaje w pracy dla niej i w żądaniu jej oswobodzenia. Polacy, przybyli wtedy do Hagi, uchodźcy, dziękowali ze łzami za te słowa otuchy i nadziei, które padły w chwili zupełnego prawie odcięcia polaków od Ameryki, gdy nic nie wiadano, jakie jest stanowisko emigracji.

Odrodzona Rzeczpospolita odznaczyła p. Napieralską orderem „Polonia Restituta“, organizacje amerykańskie ofiarowały jej dyplom zasługi, a Związek obchodził uroczyste przed 2-ma laty piętnastolecie jej pracy; na odbytym zaś w r. ub. 15-ym sejmie Związku, obrana została ponownie przewodniczącą przez akklamację, przyczem wybór ten zamienił się w gorącą owację—stosy depeesz, listów, kwiatów i upominków dla zasłużonej działaczki.

— A teraz chciałabym jeszcze dowiedzieć się, co słyhać z „Pielgrzymką?“

— Zapowiada się bardzo licznie—mówi p. Napieralska—wyjedziemy z Ameryki 19 maja; przypuszczam, że udział weźmie około 500 członkiń. Zresztą—dodaje z miłym uśmiechem—zależec to będzie i od tego, jak się Polska odniesie do nas, czy pragniecie nas mieć u siebie! Nasza organizacja z niecierpliwością oczekuje waszych słów zachęty w tym kierunku.

— Chyba nie wątpi Pani o tem, choćby z tego, co tu się dzieje!

Zastałam już, bowiem, gości u pani przewodniczącej; ciągle ktoś wchodzi i nieustannie dzwięczy telefon. Pani Napieralska nie może wprost nadażyć z przyjmowaniem wszystkich i udzielaniem informacji; pomaga jej niestrudzenie młodsza siostra, p. Franciszka, prawdziwy fenomen, jak na gościa z Ameryki: zamiast fryzury à la garçonne, ma główkę okoloną olbrzymim warkoczem pysznych, ciemno-kasztanowatych włosów.

— Jestem serdecznie wzruszona przyjęciem!—mówi p. Napieralska.—Obecnie wyjeżdżam do Częstochowy, stamtąd na Śląsk, do Krakowa, Lwowa i Poznania; poczem powracam do Ameryki, aby tam przygotować wszystko do wyjazdu.

Zawiązał się już komitet przyjęcia wycieczki, którego przewodniczącą została p. J. Szebekówna, wiceprzewodniczącą Marja Rodziewiczówna; protektorat honorowy objął J. E. ks. Kardynał Kakowski.

Z rozmowy mojej z przewodniczącą Związku Polek w Ameryce podać mogłam zaledwie najogólniejszy zarys działalności tych dzielnych, drogich kobiet, które, nie znając ojczyzny, pielęgnują jej miłość, godność polki, jej najwyższe ideały i ukochania; zdobywają szacunek wśród obcych i zbudowały trwałe gmachy: moralną i materjalną ostoję kobiety polskiej w Ameryce.

Czas, jaki dzieli nas od przybycia pielgrzymki, zużyć powinniśmy na przygotowanie się do należytego przyjęcia drogich sióstr z Ameryki i na gruntowne zapoznanie się z historją ich pracy, z całym szeregiem tych niez mordowanych i dzielnych działaczek, ze szczegółami organizacji, której dziejów nie można zamknąć w ramach zwykłego artykułu—z całą kartą historii polaków w Ameryce.

I starać się wytworzyć nieustającą łączność i współdziałanie, wymianę myśli, uczuć i pracy dla dobra Polski i jej wielkiej dzielnicy emigracyjnej w Ameryce.

Przybywajcie, drogie siostry! czekamy was całym sercem, całym wyteżonym pragnieniem wspólnej, owocnej działalności; ramię przy ramieniu. Przybywajcie!

Natalja Jastrzębska.



Ś. P. ANTONI OSUCHOWSKI

Sylwetka wielkiego jałmużnika,

Błogosławieni cisi, albowiem oni ziemię posiadają.

Stało się to w Polsce niemal zasadą, że u nas wszystko zaczyna się od patosu i zazwyczaj na patosie... kończy. A jeżeli dojdzie do czynu, to jest on zaledwie słabem echem słów, wstrząsających posadami świata w godzinie zapału.

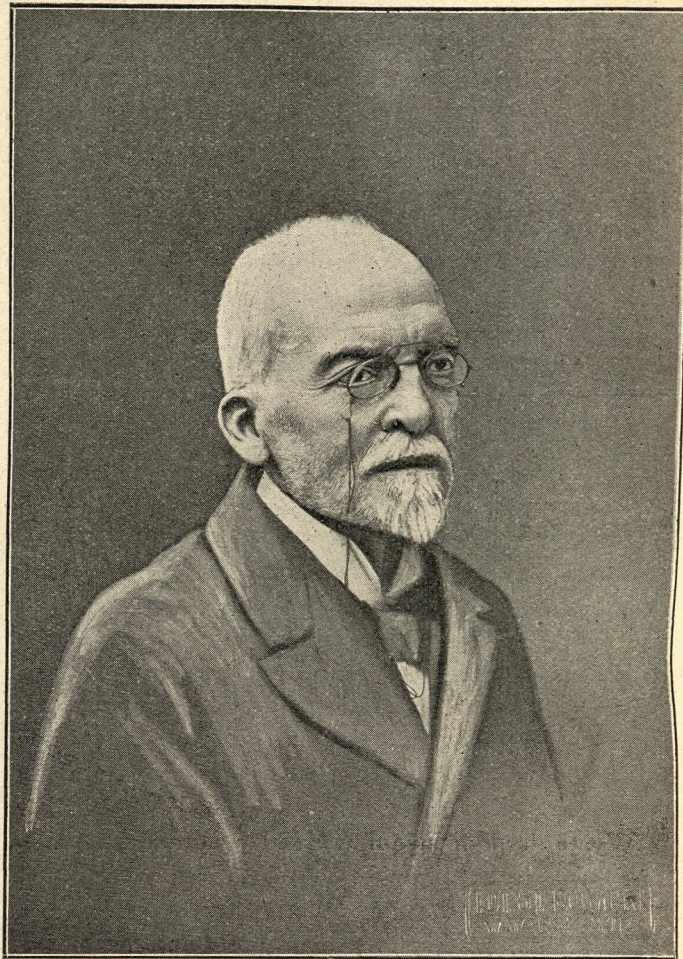
Cały niestrudzony żywot ś. p. Antoniego Osuchowskiego był tej zasady zaprzeczeniem. Inni mówili, pisali, trąbili, rozdierali szaty, posypywali głowy popiołem, porywali wymową, karcili płomiennem słowem,—on—pracował. Cicho, wytrwale, jak mrówka. Z gorliwością apostoła, z uporczywością żywiołu, z wiarą świętego, która góry przenosi.

Kiedy wokół niego, nad nim i pod stopami wily się sieci konspiracji, w których każde oczko splatało się w szyfrowane słowo „Polska“,—on wybrał drogę najkrótszą, najprostszą: bezwzględnej jawności—i u wylotu tej drogi wielkimi głoskami wypisał słowo „Macierz“. I pod skrzydłami tej Macierzy zgromadził i ogrzał rozproszone, często sobie obce, piskłeta trzech zaborów, dokonywując w ten nieskomplikowany, dla dziecka nawet zrozumiały sposób duchowego ich zjednoczenia, na długo przed realnem skasowaniem granic.

Skąd się w jednym człowieku, który nie był ani genialnym myślicielem, ani wyjątkowym mężem stanu, ani sławnym wodzem—bożyszczem tłumów,—wzięło tyle mocy tajemnej, aby te tłumy uczynić powolnym narzędziem w tworzeniu dzieła wiekopomnego? Jaki to był ten klucz czarodziejski, którym wielki jałmużnik trafiał do wszystkich drzwi? cóż to za różdżka cudowna, pod której dotknięciem opoki najtwardszych serc tryskały żywą wodą ofiar?

Dwa były talizmany, które torowały drogę ś. p. Antoniemu Osuchowskiemu wśród piętających się zasp ludzkiej obojętności. Pierwszy — to wiara niezłomna w zwycięstwo dobrej sprawy, drugi — nieomylny instynkt rzeczywistości. Pierwszy miał swoje siedlisko w sercu, drugi — w głowie. Serce płonęło miłością bez miary,—rozum prowadził do celu. Rzecz taka prosta, a tak rzadka w narodzie, gdzie „myśl nie trwa dłużej od godziny“, gdzie tak łatwo zapalają się mózgi, a tak skwapliwie stygną serca!

Uskrzydłony miłością, opancerzony świadomością posłannictwa, jałmużnik śmiało pukał do każdych drzwi. Wiedział, co kto może dać. Nie prosił, ale wymagał. Niepodobna było ująć jego czujnemu oku. Naprózno chroniczni maruderzy społeczni starali się wymknąć z pod jego kontroli. Możeby im się to udało, gdyby mieli do czynienia z organizacją zbio-



Ś. p. Antoni Osuchowski

rową, z mechanizmem urzędowym, ale nie z tym rybakim skarbów, który niezmordowanie zarzucał swą sieć w odmęt ludzki, wyciągając co chwila niewód, ciężki od połowu. Złocisty chleb jego wiary, rozłamany na okruchy, wędrował między ludzi i karmił rzesze. Wzamian dawano mu to, co było potrzebne, aby słowo jego wiary stało się ciałem: pieńiądze. Z groszów wdowich urastały pagórki; z ułomków fortun magnackich, z uśmiechów ślepego losu, z niespodzianego bogactwa wypadku, z dorobku zasługi—dźwigały się Alpy miłosierdzia. A on te góry złota,—z wulkaniczną siłą miłości i wiary wypchnięte ponad poziom jednego z najuboższych wówczas krajów Europy,—przelewał skroś jałmużnicze ręce na ziemię, które już dawno uważano za stracone, a które powinny były wrócić do Macierzy: na Śląsk, na Kaszuby, na Mazury pruskie!

Bez krwi, bez pożogi, bez przymusu, bez nakazu człowiek cichy posiadał ziemię.

Imię jego powinno być wpisane w złotą księgę „Ojców Ojczyzny“.

Stefanja Podhorska - Okołów.

WIKTORJA RYMWID-MICKIEWICZOWA

LISTY

LIST ROMANTYCZNY

Szybko w rękę wciśnięty, na szarym papierze,
ze strachem go się czyta, w przerażeniu chowa:
„Nie bój się! — wszystko dobrze... wierz tak, jak ja wierzę...
Konie w nocy za parkiem — czy będziesz gotowa?”

LIST NIEDOBRY

Napisałeś to tak sobie — ze złości
cały list ten syczący i mściwy.
Czy ci nie żal zranionej miłości?
I czy po nim możesz być szczęśliwy?

LIST NIENAPISANY

Już go może kto wymyślił,
napisał i wrzucił do skrzynki —
ten list, który mi się przyśnił,
jak dziewczynkom małym upominki.

LIST OSTATNI

Wieczór — cisza — i rewolwer na stole,
poraz pierwszy napisane coś szczerze —
Z małej rany, która już nie boli,
krwi kropelki na białym papierze.

BILET I RÓŻA

To tak niedużo —
list przysłany z wielką ponsową różą.
Ogromna prośba — bardzo przeprasza, że śmie.
Smucę się — płaczę — muszę powiedzieć — że — nie.

NIKOTJANY

Nikotjany, rosnące nad ścieżek brzegami,
są wieczorem srebrzyste i pachną gwiazdami.
Gwiazdy, wkropione w niebios kopułę błękitną,
są białe, i dalekie, i blaskami kwitną.
Od ziemi aż do nieba ruchoma zasłona
błyszczą w górze gwiazdami, dołem wonią kona.
I przed światła obcością, przejmującą strachem,
odgradza srebrnym, mocnym nikotjan zapachem.

EWA SZELBURG

ŚWIAT W SŁOIKU

Rozdział z powieści p. t. „Dziewczyna z zimorodkiem“

Do tego czasu istniały dla pani Grażelowej dwie pory roku: jedna — gdy trzeba palić we wszystkich piecach, ale można nie przebierać się do wyjścia na ulicę, bo z pod króliczych fok i tak nie widać, druga — gdy się meble trzepie w mole i zazdrości znajomym, że zawsze gdzieś wyjeżdżają.

Obecnie ilość pór roku z miejsca urosła, i to tak liczebnie, że pani Nata straciła głowę. Próbowała je jakoś objąć czterema słowami: wiosna, lato, jesień, zima, ale nie dało się to zrobić. Pór była ilość niezliczona! Rachować jej było trudno, ale odróżnić — łatwo, i trzeba. Więc jedna była ta — gdy pod rozczapierzystą opieką suchych gałęzi zakielkowała marchew i pietruszka; druga przyszła — gdy po zapłociach wyrzał krwawnik; trzecia stała się wtedy — gdy jaja kurze rozbiegły się z pod kwok kurczętami, a z jaj kaczych wypłynęły kacząta; piąta — gdy z jednej świni zrobiło się w przeciągu jednego dnia dziesięć; szósta — kiedy łaciata krowa jeła systematycznie zmieniać się w biały ser i żółte masło; siódma — jak porzeczki zaczęły stroić słodkie miny, a ósma... doprawdy, że liczyło się je od świtu do nocy na palcach obu rąk... Ręce po łokcie w nich się gubiły... nogi do kolan w nich grzęzły... a co się jedne zepchnęło z karku, już w podolek waliły się drugie.

Do tego czasu każdy swój dzień znajdowała pani Nata przed południem zamknięty w czarnej portmonetce. Teraz dnie były rozprysnięte po wszystkich kątach podwórka i ogrodu, i trzeba ich było zacząć szukać już o świcie, a dobrze dreptać, deptać, biegać i zabiegać, żeby wyszukać, pozbierać i z rozrzuconych okruchów zlepić w jedno.

Do tego czasu ranki pani Naty były bezbarwne, południa szare, a czarne wieczory rzadko kiedy rozjaśnione żywszym światłem cukiernianych lamp i kinowych kinkietów. Teraz zaś, każda minuta była jakiegoś krzyzącego koloru. I nic dziwnego, skoro dzień od świtu do nocy naszpikowany był przeróżnymi, drobno szatkowanymi zajęciami, jak zajac słoniną.

Bo pani Nata Grażelowa wszystko teraz chce sama. Zbudziła się w niej dawna panna Nastusia Piasczyńska, w której opalonych rękach paliła się robota. Wiadomo, na gazowej kuchence w aluminiowym garnuszku mogła i Gienia zamieszać, ale tutaj?

Przy rozłożystym kominie, uginającym się pod ciężarem usmolonych, brzuchatych i uszatyh sagarów, niema miejsca na chudą Gienię, na wysokich, wykrzywionych obcasach, w tangowym swetrze, ze wszystkich stron puszczającym oczka. Tu gospodarzy szerokie, jak lepa, i mocne, jak stępa, dziwczysko, z pyską gębą i robotnym grzbietem. Świadome jest wszyst-

kiego i do wszystkiego zdadne i ochotne, ale pani Grażelowa wie, że:

— ...do czego własnej ręki nie przyłożyć...

Więc przykłada ją skwapliwie do garnczków na kominie, do niosącej się siemieniatki, do pielonej grzędę... Zrobiła nawet układ ze słońcem: poprostu kazała mu budzić się co rano, a za to zobowiązała się nie kryć pod pudrem żółtych plam na twarzy. Nie wiadomo, jak na tym układzie wyszło słońce — jej się opłacił znakomicie. Zrobiła też spostrzeżenie, że, w miarę potrzeby, dzień można przydłużać, a siebie samą dwoić i troić. Zaczęła być z tych odkryć dumna.

Była, jak kit, który wszystko spaja, jak cement, który wszystko trzyma. Oto ta grzęda mocna, na której tak bezpiecznie siedzą kwoki i kurczęta, — to ona sama, pani i gospodni. Ruszyć ją — to popłochem pierzastym napełnić cały dom.

Ale w skrytości, w najgłębszej skrytości, ukryta głębiej, niż kielek w ziarnuszku makowym, porusza się już myśl, że oto ster rządów powoli, ale nieuniknienie przesuwają się z jej rąk w ostre pazury kurze, w pokręcone indycze łapy, w błoniaste kacze dłonie...

Niby tak jest, jak myślała: pod zwisającym, dziwkim winem stoi na ganku i pełnemi garściami sypie hojnie szczere złoto ciężkiego poślada, a z krekorzącym pośpiechem, ze wszystkich stron podwórza niesie się do niej drób spaśny i białomiśny.

Niby tak to jest, a całkiem inaczej się ma: to one właśnie, te obżarte ptaszyska, każą jej wyjść z domu, stać tu na ganku i sypać sobie do gardła szeleżące ziarno.

Nie dosyć na tem: każą się później syte, rozmazane, wyszukiwać po zacisznych krzakach, wypatrywać na gałęziach, strząsać i do kurników zapędzać. Zasapana kobieta musi je prosić aż do zachrypnięcia:

— Siadły tiutusiasie... sia-adły... — i samej dla przykładu przysiądać i stroszyć się spódnicami.

Ukryta głębiej, niż kielek w ziarnku makowym, poruszyła się myśl i zaczyna rosnać. Na pociechę chodzi się do chlewa. Tam, w mroku, w zacisznym cieple, na soczystym gnoju, rosna różowe szynki, rośnie tłusty boczek i dojrzewa słonina. A codzień ich więcej, codzień ich przybywa. Gospodarz rad patrzy, uśmiecha się z uznaniem i chwali połowicę:

— Wszystko to z ciebie.

Tak! wszystko to z niej. Nie raz i nie dwa od ust sobie odejmowała. Gdy te olbrzymie połcie tłustej, zdrowej wieprzowiny, jeszcze jako małe prosiaki, pętały się u zakręconych ogonków, — często gęsto jajka, które sama miała zjeść, do picia w korytko im wbiła, mówiąc poprostu:

— Mnie już i tak nie przybędzie, a na prosiakach zawsze przyrośnie.

Jakoż przyrastało.

Toteż patrzyła teraz z nieklamana sympatją na okrągłe kształty, wykwitające różowo z urodzajnego gnoju. Nie były jej obce. Były jej własne.

Z gospodarskiego rodu szła.

O jakiejś trzydziestej, czy trzechsetnej porze roku przyszedł akurat czas na zatroskanie się o spiżarnię.

Spiżarnia — tutaj! To już nie małe szafka na korytarzu, z sitkiem, jak z durszlaka. To musi być cały sklep kolonialny, spożywczy, mączny, wędliniarnia... Cała dzielnica sklepów!

O tej porze roku, która nosi nazwę robienia zapasów, może wreszcie Grażelowa pozbierać się z zakamarków podwórza i ogrodu, może przywołać się z kurników i chlewów i spokojnie zasiąść w kuchni, do spółki z dziwczyskiem ciężkiem, jak stępa, a zwinem, jak samka królicza.

Właśnie Adam, który teraz po całych dniach jest za domem, przyniósł z lasu kosz grzybów. Same prawdziwe. Zdrowe i w miarę drobne. Pani Nata siadła na stołku pod oknem i główki, odebrane od korzonków, ściereczką przeciera. Oczywiście, na sucho.

Już z godzinę tak siedzi i nie myśli wcale, żeby prędzej skończyć. Dobrze jej tak czapeczkę grzybią jedną po drugiej obracać w palcach.

W tej małej, brązowej czapeczce jest schowany cały las. Cały ogromny las zabrany jest ze swego odwiecznego miejsca, razem ze swoim zapachem, ze swoim kolorem, ze swą jędrnością, zdrowiem i niepojętym dzikim smakiem; wyrwany jest, wydarty z korzeniami i w tę grzybią czapkę włożony i przyniesiony w niej aż do samych rąk siedzącej w kuchni na stołku kobiety. Może z nim teraz zrobić, co chce.

Pani Benedyktowa Grażelowa przymyka oczy i namyśla się. Szuka czegoś na zakurzonych półkach wspomnień... Znalazła wreszcie. W wąskim, a niezwykle pakownym słoiczku kobiecej pamięci tkwi doskonale zamarynowana chwila z przed wielu lat, gdy matka dziewięcioletniej wówczas Naci, Eustachowa Piasczyńska, tak samo siedziała w kuchni z kopą grzybów na kolanach.

Z doskonale przechowanego słoika pamięci wyjmuje teraz pani Nata tę chwilę, jak zakonserwowany owoc do natychmiastowego użycia: podnosi się ze stołka i garnczek z wodą przystawia do ognia — pierwsza rzecz, grzyby muszą się obgotować.

A gdy wodą napełniała garnek, w rękach jej zaszepotała krew matki — Eustachowej Piasczyńskiej i krew babki — Teofilowej Malczowej, i krew prababki — Maciejowej Łęckiej, i krew tych wszystkich, ile ich tam było, kobiet wtajemniczonych w spalający płomień i w gryzący dym domowego ogniska. Pod zaszeniem tej krwi wieczystej, kobiecej krwi wiedzącej, drobina wody w kwartowym garnczku stała się wodą wszystkich rzek świata, które od wieków poto tylko ze źró-

deł swoich dniem i nocą płyną, by nieść człowiekowi pożytek pomiędzy brzegami.

Ustawwszy w fajerce garnczek, wzięła Grażelowa garść suchych patyków, by je wsunąć pod blachę, na ogień. Że ciąg był marny, przyklekła u drzwiczek i jęła dmuchać na żar. Przez spierzchnięte jej usta tchnęła wieczysta siła wszystkich kobiet, wtajemniczonych w klękanie przed małą iskrawą, ukrytą w martwym drzewie.

Zajęły się wnet ogniem drobne, suche patyki, a gdy się tak paliły czerwienią pod zakopconym dnem garnka, wszystkie drzewa świata spalały się w nich od korzenia po liście.

Dlatego, że spiżarnia w domu powinna być zaopatrzona.

W doskonale wysuszone słoje składa pani Nata obgotowane już grzybki i zalewa octem. Potem obciągnie je szczelnie nieprzepuszczalnym pęcherzem. Robi to bardzo dokładnie i tak się zatapia w tej pracy, że razem z jędrnymi grzybami marynuje cząsteczki duszy i mocno, mocno zawiązuje je w wąskim słoiku. A może jest to tylko niezbędny liść bobkowy w kształcie zeschniętego, spłaszczonego serca, pływający dla zwyczajności po wierzchu każdej porcji marynaty?

W każdym razie grzybki roboty pani Grażelowej są świetne, trzymają się doskonale i nie tracą koloru. Mąż twierdzi, że są wyborną zakąską. Ma się rozumieć, po mocnej wódce i — rozumie się — do porządnego mięsa.

Porządnym mięsem nazywa pan Grażel dziczyznę. W pierwszym rzędzie — dzika. Że jednak dzików niema, poluje na zajace.

Co rano, w sinem od rosy polu, człowiek wielki, jak stóg, skacze z brózdy na bródę nogami wysokimi, jak drabiny, a przed nim, w pośpiesznym strachu, furga po roli mała, szara pecyna, bezbronna, śmiertelnie wytrzeszczona. Napróżno wyciąga z pod turzycy cienkie, zajęcze skoki i, odbijając się niemi w biegu od brózd, chce odbić się od całego świata, aby dać skok tam, gdzie niema ziemi, myśliwych i śmierci! Człowiek wielki, jak stóg, człowiek niezmordowany, jak maszyna, człowiek zajadły, jak wilk, skacze za małym szarakiem z brózdy w bródę. Mierzy, strzela, zabija i przytracza do torby.

W jakiś czas dowiedział się Grażel niespodziewanie o lisach.

Do tępienia lisów też się można zapalić. A przytem...

— Nie wiesz, Naci, po ile to w mieście taka jedna wyprawiona lisia skórka?

Nie, tego coprawda jakoś nie wiedziała.

— Bo, widzisz, Naci, trzeba tę naszą gospodarkę, wogóle, jakoś intensywniej... — Namruczał się sam ze sobą, skrzyczał dziewczynę i najemne kobiety, skłął garbatego parobka, potem podjadł suszonej kiełbasy, zagryzł świeżo zamarynowanymi grzybkami i wziął się do robienia lisich trutek.

W. MIŁASZEWSKA

29

KACZĘTA

(powieść)

— Widzisz, znowu myślisz o smutnych rzeczach.

— A o czym mogę myśleć? Wszystko z tem było związane. Cała moja przyszłość. Pomyśleć: jedna głupia kula — i nie będę mógł nigdy wrócić na front! I odrazu wszystko, wszystko runęło!

— Nie mów tak. Nie wszystko, Stasiu. Jesteś przecież młody...

— Co mi po tem!

— ...znajdziesz w życiu wiele jeszcze pięknego, zobaczysz!

— Ech, ciociu. Ciocia, pociesza mię, jak małe dziecko. A ja nie jestem dzieckiem. Ot, widzi ciocia! teraz ciągle zazdroszczę Markowi. Leżę tu i zazdroszczę...

Ogarnęła mię nagle odwaga:

— Słuchaj, Stasiu. Czy ty się kiedy modlisz?

— Po co to cioci wiedzieć? A gdybym powiedział, że nie?

— To byłoby niedobrze. Niedobrze dla ciebie, Stasiu. Modlitwa tyle ulgi przynieść może...

— Nie każdemu. Ja się nieszczercze Bogu przy pochlebiać nie umiem. Terazbym raczej kłął...

— Stasiu, Stasiu!

— A widzi ciocia! Mówiłem, niech ciocia nie zaczyna z tej beczki. Już ciocię przeraziłem. Egzorcyzmy warto może nademną odprawić? Błuznię, prawda? Niech ciocia przyzna: teraz się ciocia o moje zbawienie przelekła?

— Nie, bo wierzę, że Pan Bóg wszystko widzi i wiele wybacza. Ale mi ciebie strasznie żal...

— Ja też sam siebie żałuję, choć to głupie uczucie...

— ...że odrzucasz jedyną pociechę. Bo tylko w Bogu znajdziesz pociechę, Stasiu.

— Więc dobrze. Ukorzę się przed Bogiem, i co? Może mam ufać, że mi noga odrośnie?

— Nie. Ale nadejdzie taka chwila, że powiesz: Bądź wola Twoja, Panie!... I poddasz się z pokorą wyrokowi Boskiemu. To jest właśnie siła modlitwy, Stasiu...

Znowu ukrył twarz w obu rękach, jak przed godziną. Nie odzywał się więcej — nie chciałam się mu narzucać z radami. Bo cóż ja mu poradzę, biedakowi drogiemu?

Kiedy nareszcie oderwał ręce od oczu, twarz miał smutną, ale już nie było w niej złości.

— Może ciocia ma słuszość — szepnął — tak, napewno ciocia ma słuszość. Ale cóż! Choćbym nawet spróbował, nie potrafię się modlić z pokorą. Nie potrafię powiedzieć: Bądź wola Twoja... Nie potrafię, nie potrafię!

— A gdybyś... a gdybyś, Stasiu, powiedział dzisiaj tylko tak: Dobry Jezu! ulżyj memu cierpieniu, bo już jestem za słaby i dźwignąć go nie mogę...

— ...bo już jestem za słaby i dźwignąć go nie mogę... — powtórzył za mną, jak echo...

— ...i daj mi siły do wytrwania... i nie opuszczaj mnie...

— I nie opuszczaj mnie. — szepnął tak cicho, że ledwie go dosłyszałam, chociaż byłam tuż obok. Wyciągnął rękę, szukając mojej. Trzymał ją długo, długo — wreszcie uczułam jakby delikatną pieśczętę:

— Ciocia jest dobra. Ja ciocię bardzo, a bardzo kocham. Jak nikogo na świecie...

— Mój ty...

Ale coś mię zdławiło za gardło, nie mogłam nawet dokończyć, że ja go także bardzo, a bardzo kocham. Tyle samo, ile kochałam Marka. Napewno tyle samo!

— I co ja bym robił, żeby tu cioci nie było? — szepnął jeszcze. Był tak zmęczony, że każde słowo wymawiał bardzo powoli. Potem głowę przechylił na ramię i usnął, nie puszczając mojej ręki.

22 maja

Teraz już się Staś w oczach poprawia. Mizerny bardzo, wychudł, ale mu sił przybywa prawie z każdą godziną. I nawet usposobienie ma lepsze.

Czasem się nawet śmiejemy oboje. A jakże, śmiejemy się! Bo naprzykład dziś: upał był wielki od rana, jak w środku lata. Otworzyłam okno, ale przez okno lała tylko duchota. Nagle Staś mówi:

— Niech ciocia zgadnie: co to takiego, co się na G zaczyna, a na O kończy i bardzo brzydko pachnie?

— Fe, Stasiu, doprawdy...

— Nie wie ciocia?

— No, nie wiem...

— Grodno! A co, może nieprawda? Śliczne to miasto, ale przecież nie pachnie różami! Nietrudno się o tem przekonać, choćby dziś.

Dopiero, jak się nie zaczęło śmiać! Uśmieliśmy się oboje, wreszcie Staś pyta:

— A ciocia co myślała? Ej, z cioci ładny numerki!

— A ciebie się figle trzymają, zbytniku jakiś!

— Zbytniku, zbytniku... — powtórzył i odrazu przestał się uśmiechać.

Ale już teraz nie wpada w takie odrętwienia. Nawet czasem żartuje ze swego nieszczęścia. Spytał niedawno, gdyśmy o powrocie do domu rozmawiali:

— Jak ciocia myśli? Czy mi będzie przystojnie ze szcudłem?

Już miałam na języku: „Z czemuś tobie nie było przystojnie!” — ale mi raptem stanęło w oczach... Jezu kochany, żeby znów takie kpinki urządzać z kactwa swego! Obrza Boska, i pewnie się tak tylko Stasiowi wypsnęło, bo zawsze paskudny miał język.

Ale fakt, że Staś ma teraz inną minę. I gdyby nie obawa, że sobie zasługę chcę przypisać w tem, co jest tylko łaską Bożą i zmiłowaniem, — przysięgłabym, że to od czasu, gdy się razem modlimy.

Bo teraz codziennie razem odmawiamy pacierze. Z początku Staś jakby się trochę wstydził: nie narzekał się, ale i nie narzekał, że go „za uszy ciągnę do nieba,” jak to kiedyś powiedział, w ósmej klasie jeszcze, gdy prosiłam, by do spowiedzi poszedł.

Mówimy krótkie modlitwy, które Staś umie i pamięta. Przy „Ojczenasz” powtarza „Bądź wola Twoja” trochę ciszej i głosem zdławionym, ale powtarza.

Da Bóg, że nadejdzie ta chwila, kiedy się ze swoim losem pogodzi. Już się godzi. Zaczyna mówić o przyszłości, o tem, co będzie robił — skoro do wojska wrócić nie może.

— Zostaniesz wielkim inżynierem, lub wielkim przemysłowcem... Tobys dopiero ojcu uciechę sprawił! — powiadam mu żartem. Ale Staś zaraz robi poważną minę:

— Nie. Przemysłowcem nie zostanę, ani paskardzem, jak Tomek.

I już kończy z uśmiechem:

— Ale mogę zostać, na przykład, wielkim uczonym, wynalazcą... Hm! Coby ciocia na to powiedziała, żebym tak pewnego dnia wynalazł uniwersalne lekarstwo na wszystkie bolączki ludzkości?

Zamyślił się i po chwili dokończył cicho:

— To lekarstwo, zresztą, istnieje. Każdy je w sobie nosi...

Oj, ten Staś! Czemu on nie wymyślił! Jużbym się teraz niczemu nie dziwiła, skoro on sam siebie umiał wziąć w karby, i to jak prędko! Pomyśleć tylko, że jeszcze tydzień temu...

Z jednym tylko poradzić sobie nie mógł: z ową Jagienką. Nawet o niej nie wspomni, a wiem, że myśli często. Boże drogi!... Że też mu ta dziewczyna właśnie teraz stanęła w drodze i w serce zaszła głęboko, ale jak zaszła! Niczem drzazga.

Próbował on ją wyrwać, tę drzazgę. Nawet sposoby wynajdywał, żeby ją nie bolało za bardzo, a tylko jego... Powiedział mi nazajutrz po tym liście, i to tak, jak on umie, zniemacka:

— Ciociu, mam do cioci ogromną prośbę.

— Jaką, Stasiu?

— Ale ciocia ją spełni?

— Czemu nie? Chyba, że głupia jakaś prośba, nie poważna...

— Wcale nie głupia, ciociu, i ogromnie poważna. Ciocia napisze list...

— Z całą chęcią. To mi dopiero wielka prośba! Do kogo będzie list? Bo coś mi się wydaje, że już zgadłam.

— Może ciocia i zgadła. Do tej panny, która wczoraj pisała. Tylko niech ciocia słucha uważnie, co będzie w liście, bo w tem właśnie cała rzecz...

— No, słucham.

— Ciocia napisze do niej, ale nie w moim imieniu, tylko od siebie.

— Jaktu, od siebie?

— No tak. Napisze ciocia, jako moja ciotka, że ja — umarłem.

— Zwarzjowałeś?

— Wcale nie zwarjowałem. I datę ciocia umieści. Umarłem piątego maja. Niech ciocia zapamięta: piątego.

— W Imię Ojca i Syna... Stasiu!

— Przecież to nawet nie takie wielkie kłamstwo... — szepnął z bolesnym uśmiechem — Piątego maja... Jeżeli nie umarłem przy operacji, to w każdym razie... I zresztą tego dnia umarłem — dla niej.

— dla kogo?

— No... dla Jagienki. POCO ciocia męczy mnie pytaniami? Czy ciocia nie rozumie, że jeżeli ja kiedyś — że jeżeli ona mnie... to w każdym razie dla niej byłoby stokroć lepsze pocierpieć mocno i krótko, niż... Zresztą już to cioci mówiłem, zdaje się, wczoraj.

— Ale, mój Stasiu, to nie ma najmniejszego sensu! Przedewszystkiem, jeżeli ta Jagienka ma dobre serce...

— Ma dobre serce. Właśnie to — mruknął — tego się boję najbardziej. Z dobrego serca umyśli sobie... Et, niech mi ciocia da spokój! Najlepiej uciąć krótko. A jeżeli ciocia uważa, że głupi pomysł z tą śmiercią, to jak mam uciąć?

— Najpierw, mój Stasiu, jeżeli nawet... choć to przecie czysty idjotyzm! Ale przypuśćmy, że piszę. I co dalej? Skoro ona ma coś w sercu dla ciebie (a ja czuję, że ma), to czy ty myślisz, że ona tak, raz-dwa, zapomni? A'właśnie! przyjechałaby czempredzej na grób (że też mi takie rzeczy przez usta przechodzą!) A jeśliby nawet nie przyjechała, to możecie się kiedyś spotkać... I wtedy co?

— Prawda — szepnął Staś — zapomniałem, że ja kiedyś będę chodził po świecie...

Spochnurniał całkiem, na czoło wystąpiła mu gruba, poprzeczna zmarszczka; widać wciąż przemysłował o Jagience i o tem, jakby ją od siebie uwolnić. Już ja go dobrze znam, jaki on jest, kiedy sobie coś ubrda. Tylko nie uwierzyłabym, że on się tak zakocha...





Aja Sophia w Konstantynopolu — wygląd obecny.

ZYGMUNT KNOTHE

IMPRESJE KOŚCIELNE

Bizancjum

Cesarz... Wszechwładny pan wschodniego imperjum, pomazaniec Boży, bizantyjski cesarz. Najwyższa widoczna potęga władzy ludzkiej. Ucieleśnione bóstwo, raczej symbol idei jedynowładztwa, niż żywy człowiek. Majestat najjaśniejszy, w przepych bajki wschodniej oprawiony.

Gną się, przypadają do ziemi, chylą czoła śmiertelni, gdy on przechodzi. Któż się ośmieli spojrzeć w jego oblicze, kto zniesie spojrzenie jego oczu? Czują jego obecność—przeżywa, niby łaska niebiańska, owiany uwielbieniem i strachem. Nie Bóg, i nie człowiek...

Zbudowano w Bizancjum nowy kościół. Wielki, wspaniały, na chwałę młodej, potężnej religii Chrystusa Nazareńskiego. Cesarz ją wyznaje, a więc i cały świat. Trudziło się mistrzów wielu nie przez jeden rok nad bogatym wnętrzem tej świątyni, i dziś sam cesarz uświetni swoją obecnością pierwsze nabożeństwo.

Tłumy zaległy ulice i place; od zamku drogę szkarłatem wysłano i obstawiono strażami. Idzie cesarz. Kołyszą się, chylą ku ziemi tłumy, jak łan zboża pod tchnieniem wiatru. Nie śmia wzniesć oczu. Dźwięczą zbroje, z szumem i szelestem szat sunie dwór. Oto nadchodzi on.

Spojrzenie błękitnych oczu wysłał hen, daleko przed siebie. Duma o czemś ważkiem, pionowa bruzda przeorała mu czoło. Zacisnęły się purpurowe, dumne usta. Cicho chrzęści suknia ze złotogłowiu; klejnoty, jak słońce, lśnią na piersi i ramionach, jarzą się w cesarskiej koronie. Idzie cesarz...

Oto przekroczył próg kościoła. Owiały go dymy kadzideł i złoty zmierzch wnętrza świątyni. Zaparł

oddech tłum wielotysięczny, w bezruchu trwający. Cesarz podniósł oczy.

Z głębi półkolistej absydy, z nad ołtarza, jarzącego się świecami, patrzył nań — Bóg.

Olbrzymich rozmiarów, ponad cały świat ziemskiego przepychu wyrastająca, ze złotego tła zdawała się płynąć po przez złoty pył wprost ku niemu—głowa Bożego Syna.

Straszliwa twarz umęczonego człowieka, z całym cierpieniem, odmalowanym na niej, z zaciśniętymi ustami, z fałdami bólu. I te oczy, oczy Boga—dwie otchłanie, rozwarte we wszechświat. Oczy, w których głębinie widniała, zda się, nieskończoność, ciemne pola eteru, wirujące kręgi słonecznych systemów. Oczy, świadome tajemnicy bytu, niedostępnej ludziom; oczy wszechwiedzące, tajemnicze, pełne boskiej potęgi i władzy. Oczy Boga Rażącego, sprawiedliwego i nieubłaganego.

Ten wzrok przenikał do głębi najskrytszej, podświadomej myśli, przebijał każde uderzenie serca swym jasnowidztwem. Nic się przed nimi nie ukryło: te oczy znały los świata i los jednostki...

Cesarz patrzył. Przez chwilę zdawało mu się, że się przeciwstawi Bogu, on, czczony przez cały lud, wydzwignięty na najwyższy szczybel władzy. Łudził się, że zniesie spojrzenie tych oczu, że im się oprze potęgą swej cesarskiej, dumnej duszy.

Lecz zadrażał: zrozumiał, że z tą władzą nie jemu się mierzyć, że są siły i potęgi, przez które on wtłoczony zostaje w cały, najbardziej szary tłum, zrównany z ziemią,—jak jego własna stopa deptała pospółu djamenty i pospolity piasek. Poczul się tylko czło-

wiekim śmiertelnym, którego godziny są policzone tam, w niebie. I ukorzył się.

Pochylił cesarz dumną głowę, zasłonił powiekami oczy, by nikt nie wyczytał w nich lęku, i ciężko padł na kolana... Po tłumie przeszedł jęk...

A ze złotego tła absydy, po przez złoty pył i błękitne dymy kadzideł patrzyły straszliwe, przepożęzne oczy Boga-Syna. Sztynno rozłożone dłonie, o świętych, krwawych stygmatach, zdawały się wyciągać ponad głowy, schylone w pokorze, zdawały się obejmować cały tłum, cały lud, miasto, świat — i przygarniać do serca, które za nich się oddało na mękę i śmierć.

Miłujący i sprawiedliwy, potężny i groźny — bizantyjski Bóg wschodnich cesarzy...

* * *

Przedziwną jest bizantyjska sztuka tych pierwszych wieków chrześcijaństwa. Niby na ziemi starej Europy kwitnąca, tuż obok greckiej kultury, a tak niesłychanie odrębna. Grecja po swym upadku promieniowała ku Rzymowi, gdy Bizancjum, odgrodziwszy się od niej murem, całym sobą łaknęło i poilo się Wschodem. Tym dalekim, legendarnym, kuszącym Wschodem, kolebką ludzkiej myśli, złotem i krwią malowanym obrazem. Z marzeń o jedynowładztwie wyrosła władza cesarzy, z potrzeby wschodniej duszy korzenia się przed kimś żywym. Stamtąd wzięto przepych stroju i ceremonjału nadludzkich władców ludzi.

Gdy przyszedł chrystjanizm, uznano go, jako władzę, wyższą od cesarzy; jako religję panującą, wyznaczającą ziemskich władców. Podzielili się cesarze przepychem i ceremonjałem z Bogiem. Przeciwwstawiły się pałacom — kościoły. Tylko, że Bóg musiał być jeszcze groźniejszy i wspanialszy od cesarzy, aby i oni mieli się przed kim chylić na kolana.



Chrystus z mozaiki bizantyjskiej

Kościoły bizantyjskie są zzewnątrz surowe, twarde, ciężkie, ponure: ogromne bryły, nakryte płaskimi kopułami. Dopiero wewnątrz roztocono cały przepych barwnych marmurów, lekkich kolumn, łuków, rzędów okien. Nieskończone bogactwo mozaiki tych bezcennych skarbów umiejętności i pomysłowości artystów.

Mozaiki zastępowały w kościołach obrazy. Co powodowało, że postacie są sztywne, martwe, dostojne? Może nie śmiano w żywych pozach portretować tych, co byli świętymi, albo stali na wyżynach tronu? W hieratycznych pozach, w sztywnych szatach trwają w bezruchu, zamarli w swej doczesnej potędze, lub nieruchomi, żyjący w innym świecie — ducha.

A nad kościołem, w kształcie krzyża równoramiennego, tak zwanym centralnym, wznosiła się kopuła. Hen, wysoko, ponad rzędami okien, gromadziła pod sobą myśli i modlitwy wiernych, wyciągała z nich duszę wzwyż, ku sobie i wypełniała się nią, jak wielka czara, płonąca ku Bożej chwale.

Z TEATRÓW

TEATR SENSACYJ

„Maya,“ sztuka w 9 obrazach z prologiem i epilogiem Szymona Gantillona, przekład M. Nagody. Reżyserował Wiktor Biegański.

Teatr Sensacyj! Aha! to znaczy Grand Guignol na warszawskim bruku. Rozumiem! Hiszpańskie buty, fotel elektryczny, furjat w menażerji, dynamit pod pokładem okrętu, złodziej, dostrzeżony w lustrze przez czarującą miliarderkę. Cały bałagan jarmarcznych okropności! Gęsia skórka na kilogramy. Świat gorączkowych widziadeł, od których włosy się jeżą i cierpną paznogie. Czy tak?

Nic z tego. Mały, trochę piwnicą zalatujący, teatrzyk na Karowej stał się przybytkiem sztuki, którą trudno nazwać nową, bo zanadto trąci myszką symbolicznego mistycyzmu, ale w której, pomimo najszczęstszych chęci, nie można doszukać się „sensacji“, w pospolitem tego słowa znaczeniu.

Fakt, że bohaterką sztuki jest prostytutka i że cały kalejdoskop pomysłów autora obraca się w portowym kręgu marynarzy i dziewcząt ulicznych, nie decyduje bynajmniej o zaliczeniu „Mayi“ do rzędu utworów sensacyjnych. Wręcz przeciwnie: cała nawskroś poetycka, chwilami czułościowa, postawa autora wobec tematu osłabiła i zatuszowała jego wrodzoną drastyczność. Taki, n.p., „Bóg zemsty“ Asza, którego dziwnym zbiegiem okoliczności widziałam na jednej z awangardowych scen paryskich, jest brutalniejszy od marzycielskiego dytyrambu Gantillona o całą Jakóbową drabinę kultury, jaka dzieli prymitywnie na-

miętą duszę semity od wyrafinowanego wnętrza europejskiego pięknoducha.

Robota Gantillona jest kapryśna razem i koronkowa. Z umysłu autor pozbawił swój utwór wszelkiej fabuły — drobne i ważne wypadki wtapiając w nurt akcji wewnętrznej, jaka toczy się podświadomie w duszy Mayi, tej muszli, grającej echem przeżyć własnych i cudzych. Maya, jednostronne uosobienie kobiecości, nowoczesna Wenus uliczna, zwana Bellą dla swej niezwyklej urody, jest — jak zwykle zresztą bóstwa — obojętna i bierna raczej na męskie zachwyty i brutalności, które przyjmuje bez wstrętu i bez zapału, z filozoficznym spokojem „złotego posążka“. I w tym właśnie kamiennym spokoju tkwi jej cały tragizm, tragizm istoty, która niczego nie oczekuje i wie, że w jej losie nie może nastąpić żadna zmiana. Autor bohaterkę swoją potraktował uniwersalistycznie, skupiając w jej postaci wszystkie krzywdy i bóle kobiecości, skazanej na wieczną tułaczkę od mężczyzny do mężczyzny, w niezmiennych ramach tej samej nędznej izdebki, do której wchodzi kto chce, i kiedy chce, bo taka jest wola i nakaz potwora, zwanego społeczeństwem.

Napróżnobyśmy jednak szukali w „Mayi“ jakichś pomruków buntu, jakichś podszeptów demagogji. Prolog i epilog — dwie sceny najmniej udane, najgorzej zagrane, najbardziej papierowe — przemocą ciągną za włosy na wyżyny deklamatorskiego mistycyzmu cały utwór, którego pierwszorządne walory polegają właśnie na mistrzowskich chwytach psyche ludzkiej w jej momentach załamania tragicznego, rzewnych wzlotów i wzruszających w swej prostocie odruchów. Od czasu do czasu autor odkrywa zasłonę i pokazuje nam zakątek ludzkiego serca, rąbek prawdy, porywający szczerością i prostotą. Te dziewięć obrazów — to szereg nowel o pełnem ekspresji obliczu.

Jest jeden moment, kiedy Bella dowiaduje się o śmierci swej trzyletniej córeczki, której nie znała wcale, bo zaraz po urodzeniu oddała ją za pośrednictwem akuszerki „na mamki“ do prostej góralki. Nie wie nawet, jakie dano imię dziecku. Posyłając pieniądze, pisała o niej zawsze: „Malutka“. A teraz trzeba ubrać się „przyzwoicie“ i jechać na pogrzeb dziecka. Wzruszone „koleżanki“ do pudełka od cygar zbierają między sobą składkę na wieniec. „Powinien być biały, bo to przecież dla takiego niewiniątka“. Ale w ostatniej chwili Bella rozmyśla się. Nie pojedzie. Nie ma ani kapelusza, ani czarnej bluzki, ani ludzkiego obucia. Nie może się przecież pokazać między obcymi w swoim czerwonym kimonie! Ale co zrobić z pieniędzmi, uskładanemi przez koleżanki z ich krwawych zarobków? Między prostytutkami kręci się czternastoletnia Zośka, dziecko nędzy portowej, marzące o białej sukience.

I w nagłym porywie rezygnacji Bella oddaje dziewczątka pieniądze, zebrane na wianek.

— Weź to, kup sobie białą sukienkę. Będiesz w niej najładniejsza, najładniejsza...

Dla tej jednej sceny warto pójść do „Teatru Sensacyj“. Tembardziej, że rolę Belli gra taka artystka jak Solska, a obok niej na czoło wykonawców wysuwa się Roland w epizodycznej roli tłumacza okrętowego, którego nieszczęśliwa miłość popycha do zbrodni.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje pozatem Edward Strycki w roli palacza okrętowego, oraz młody aktor, grający marynarza z północy z czarującą świeżością wybuchowego temperamentu artystycznego. Trzy gwiazdki, któremi zastąpiono nazwisko jego w afiszu, może się zmieniać rychło w jedną wschodzącą gwiazdę nowego talentu na horyzoncie teatralnym. Naogół sztuka jest wyreżyserowana znakomicie, grana we właściwym tempie i z tym umiarem, jakiego wymagała drastyczność tematu. „Stąpamy, jak po szkłe“, powiedziała o grze całego zespołu pani Solska. Rzeczywiście, jest to taniec wśród mieczów, z którego młody teatr wychodzi zwycięsko, bijąc subtelnością i artystycznym wykonaniem niejedną renomowaną scenę.

Tylko prolog i epilog były zupełnie chybione. I autor, i aktorzy błędzili tu poomacku, napróżno szukając gruntu pod nogami. W szczerość słów, padających ze sceny, nikt tu nie wierzył. Poco to zakłamanie, które nie licuje zgoła z wyrazistością pozostałych obrazów?

s, P. O.

Z ŻYCIA EKРАНU

(Apoteoza kobiecości. — Serce. — Kultura filmowa. — Abel Gance).

Z powodzi filmów, które ukazały się na warszawskich ekranach w okresie świątecznym i poświęconym, prawie wszystkie zasługiwałyby na omówienie z tych, lub innych powodów. Niestety, na to niema miejsca; wybiorę więc dziś tylko takie, których dominanta jest, jak przypuszczam, najbliższa sercu czytelniczek: — filmy, poświęcone kobiecie i dziecku.

Zdawałoby się, że prawie każdy film kręci się wokół kobiety, bo w każdym jest jakaś „ona“, której losy, ujęte w najrozmaitsze formy, składają się na fabułę obrazu. Jednakże, te wszystkie „bohaterki“ — to tylko tancerki, damy, szwaczki, awanturnice, panysklepowe, czy „córki królów szmalcu“ — cała galerja typów, a często jedynie schematów postaci kobiecych. Wśród tych wszystkich pań, panienek i paniusz ujrzeliśmy ostatnio dwa prawzory kobiecości: instynkt, zmysły i kaprys — z jednej strony (Dolores del Rio w „Carmenie“), miłość ofiarna i pełna wyrzeczeń się — z drugiej (Liljana Gish w „Krwawej Literze“). Liljana Gish, idąc po raz obranej drodze odtwarzania kobiet, dla których uczucie jest jedyną racją istnie-



Mary Pickford

nia, wzniosła się w tym filmie na najwyższe szczyty sztuki. Przy niesłychanej powściągliwości mimiki twarzy i oszczędności ruchów, siłą skondensowanego uczucia, które prześwieśla jej wątłe ciało, niby płomień ścianki alabastrowej lampki — Liljana zniewała widza do pochylenia głowy przed świętością miłości kobiety-matki, zawsze gotowej do cierpień za tych, których ukochała. Postać Liljany w „Krwawej Literze” przekracza ramy fabuły, urastając do miary symbolu. Nie jestem zwolenniczką „solistik” ani „solistów” w filmie, i nie dlatego mówię o Liljanie, że uważam grę aktorską za podstawę wartości obrazu. Lecz Liljana w całej swej artystycznej karierze ma pewną wytyczną linię, z której nigdy nie zbacza, pracując ciągle nad jej pogłębieniem — jest uosobieniem najczystszej, najszlachetniejszego uczucia — jest, przy całym realizmie swej gry, jakimś romantycznym anachronizmem — sztandarem „wiecznej kobiecości”, zatkniętym na okopach zmaterjalizowanej współczesności.

Drugą „gwiazdą”, która w sztuce filmowej reprezentuje pewną ideologię, jest Mary Pickford. Po długiej przerwie widzimy ją znów jako „Małą Anetę”, bliźniaczą siostrę jej dawnych małoletnich bohaterów. Charakter tych filmów jest prawie zawsze taki sam: — naturalistycznie ujęte środowisko wielkomiejskiej biedoty. Jeżeli Amerykanie mają niejednego grzech na sumieniu w stosunku do różnych krajów egzotycznych, zwłaszcza — Rosji, którą pokazują w najnieprawdopodobniejszej postaci, to zato mogą się pochwalić niezwykłą umiejętnością szerzenia zapomocą ekranu wiadomości o swym własnym kraju, o jego

historji, obyczajach i życiu. Jak doskonale znamy tę biedną dzielnicę New Yorku, te ubogie mieszkanki, te krzaczaste obrusy i nieodzowne bujające fotele, te niepozorne sklepiki i ich zatroskanych właścicieli — całą tę różnorodną (białą, żółtą i czarną) nędzę! Wiemy doskonale, jak ci ludzie żyją, pracują, bawią się, o czym marzą i do czego dążą. Wszystkiego tego nauczyło nas kino, a „słodka Mary” kazała nam spojrzeć na „małych ludzi” których życie w tym zamkniętym światku jest ściślej związane z życiem dorosłych, niż to bywa w pałacach na Fifth Avenue. Właśnie w takim zaułku, na takim zaśmieconym podwórku wyrasta kwiat miłości, posiany ręką dziecka. We wrażliwych serduszkach dzieci niema miejsca na prawdziwą nienawiść — na różnice i względy wosoku do ras pogardzanych i uprzywilejowanych. Te rozhułkane dzieci ulicy we właściwym momencie czują podświadomie, że wszyscy

są równi i jednakowo mali wobec Nieszczęścia i wszyscy mogą być wielcy w Miłości i Przebaczeniu. Czy to nie mały murzynek daje przykład koleżeńskiej solidarności? Czy to nie „ostrożny” i skądinąd, wcale niewyidealizowany żydek staje się przyjacielem i pocieszycielem osieroczonej Mary? Czy mały chińczyk nie robi wszystkiego, co jest w jego mocy, ażeby ocalić niewinnie posądzonego? Bardzo być może, że już na jutro dwie wrogie partie ulicznych łobuziaków zaczną swe zwykłe walki. Ale gdy zajdzie coś poważnego, coś, co wstrząśnie ich dziecięcym sumieniem — to wszystkie dzieciaki znów znajdą właściwą drogę postępowania, którą wskaże im niezawodny doradca: Serce.

Społeczno-wychowawcza wartość filmów Mary Pickford równa się ich wartości artystycznej. Morał nie sterczy tam, jak przysłowiowe sztydło z worka: przewija się jakoś dyskretnie, i mały widz przełyka go niepostrzeżenie, niby konfiturę w kremie. Bo nie narzuca mu się gwałtem cnót „grzecznych dzieci” do naśladowania. Pokazuje się, poprostu, dzieci z krwi i kości, takie, jak i on sam, i dlatego czyny tych małych bohaterów nie są dla niego dalekim i zimnym „przykładem”, jakim dziecko być „powinno”, lub „niepowinno”, lecz — przeżyciem, w które sam zostaje wciągnięty. W „Małej Anecie” niema żadnych olśniewających „efektów”. Jedynym efektem i największą sztuką jest tam prostota i naturalność oddania szarej, zwykłej codzienności, która z rąk mniej wytrawnego reżysera tak łatwo się wymyka, lub ulega kabotyzacji!

W „Małej Anecie” tak samo, jak w „Krwawej Literze” — widzimy, czem jest koncepcja artystyczna

czem jest umiejętność znalezienia odpowiedniej formy dla danej treści, czem, wreszcie, jest kultura filmowa (określenie bardzo „na czasie”, wobec powstania u nas Rady do Spraw Kultury Filmowej). Co znaczy t. zw. świetna technika bez przewodniej myśli reżyserskiej — możemy przekonać się w „Casanovie”. Jest to filmowe dorobkiewiczostwo: — dużo tłumów, tricków fotograficznych, kostumów, świateł; sztuki — niewiele. Z tem większym zaciekawieniem oczekujemy innego filmu francuskiego: „Napoleona” *) — Abla Gance’a.

Gance jest jednym z najwybitniejszych reżyserów europejskich, jednym z nielicznej garstki pionierów, idących zawsze w awangardzie. Nie zadawalnia się choćby najszcześniejszą kompilacją zdobytych już osiągniętych, lecz zdobywa piędz po piędzi ziemię obiecaną każdego artysty: — realizację twórczego marzenia. Stosunek widza do filmów Gance’a jest też odrębny, niż do filmów innych reżyserów. U innych ogląda się ostateczny wynik ich pracy, tak jak ogląda się doskonałą, wykończoną już rzeźbę, obraz, lub dzieło architektury. U Gance’a uczestniczy się, niejako, w jego męce tworzenia, w jego zmaganiu się z oporną materją, którą on, zda się, ujarzmia w oczach widza, ażeby wydobyć z niej nowe Piękno.

Takim był Gance dotychczas w „Oskarżam!”, lub w „Kole udręki”. Sądząc z tego, co już dał i czego można się po nim spodziewać — „Napoleon” poraz drugi wstrząśnie światem, choć na ten raz — tylko światem filmowym.

Stef. H.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Koncerty w Filharmonji — „Warjacje symfoniczne” Juljusza Wertheima — Koncert muzyki szwajcarskiej — Siostry Kotanji w Konserwatorjum.

Przyzwyczajiliśmy się do monotonji w dyrekcji orkiestrowej i do programów, w których jedynym wysileniem jest dobrze renomowane nazwisko solisty, — nie czekamy więc silnych wzruszeń muzycznych, nie wchodzimy w tajniki ospałości, mającej swoje, i to bardzo osobiste uzasadnienie; więc gdy dobremu jakiemu dyrygentowi ze Wschodu, czy z Zachodu, uda się przemycić ruchliwszy koncert pod względem wykonania i programu, cieszymy się tym istotnie niewykłym ewenementem, rozpraszającym nudę kwietyzmu sezonowego w tym roku. Jeden dyrygent wytwarza mimowoli jednostronne pojęcie publiczności o pewnych utworach; zdobywa ją nawet częściowo dla swoich upodobań, ale wreszcie zniechęca lekceważeniem muzyki, uważanej przez niego za pośledniejszą, z której inny dyrygent umie wydobyć właściwe efek-

ty. Grzegorz Fitelberg ma niewątpliwie zasługi w zapoznawaniu nas z utworami „ze świata”, z ostatnim krzykiem współczesnej mody muzycznej, która, przechodząc niejednokrotnie bez silniejszego wrażenia, ma jednakże tę zaletę, że uczy słuchać, odróżniać, i wywołuje ożywioną wymianę zdań i zapatrywań; ale monopol dyrekcji, wziętej w arendę przez jednego muzyka, osłabia tę zasługę, ograniczając zarówno dyrekcją, jak i programem rozleglejsze upodobania publiczności, która swoje, słuszne zresztą, znużenie objawia słabszą znacznie frekwencją na koncertach. Ale obcy dyrygenci natrafiają na spiętrzone trudności lokalne, które niezawsze skutecznie dają się usunąć, tembardziej, jeśli są poparte argumentem względów patriotycznych. Mimo wszystko, udało nam się w tym sezonie kilka razy słyszeć koncerty symfoniczne pod batutą Emila Coopera, którego wytrawna znajomość dyrekcji, elektryzując orkiestrę, umie wydobywać ze starych programów, słyszanych niezliczone razy, świetne, nieznanne efekty, a nowe utwory prezentować w najlepszym świetle, od którego zawsze zależne jest ich powodzenie.

Dzięki Cooperowi słyszeliśmy ostatnio „Warjacje symfoniczne” Juljusza Wertheima, kompozytora, a także krytyka muzycznego. Utwór Wertheima, o bardzo dobrej fakturze orkiestrowej, o błyskotliwych efektach instrumentalnych, ładnie prowadzonej linii melodyjnej i doskonale napisanej fudze na zakończenie — spotkał się z bardzo żywym poklaskiem publiczności. Przeprowadzenie „Warjacyj”, o rytmice plastycznej, nadającej się do efektów baletowych, jest zapowiedzią powodzenia ich autora w operze.

Koncert muzyki szwajcarskiej pod dyrekcją Henryka Opieńskiego, znanego kompozytora i muzykologa, przebywającego stale w Morges, w Szwajcarji, miał wyraźne cechy propagandowe, dlatego nie należy się nim zbyt wiele przejmować. Zarówno symfonia Sutura, jak i „Suita tessańska” Doreta należą do utworów średniej wartości, o przeciętnej instrumentacji, napisanych poprawnie, ale bez polotu i najprawdopodobniej bez ambicji przetrwania innych. „Suita” Doreta nasuwa analogje wagnerowskie, nawet ostatnia jej część ożywiła monotony nastrój wieczoru. P. Barblan - Opieńska, muzykalna i inteligentna pieśniarka, zapoznała nas z bladą pieśnią szwajcarską.

Ostatecznie, o ile muzyka nie jest charakterystyczną wartością jakiegoś kraju, ale podobnie, jak moda, nosi cechy wspólne dla wszystkich, — jest dla nas najubożniejszą w świecie rzeczą, jakie jest jej pochodzenie: głównie idzie nam o to, co w niej zawąży. Tylko muzyka, opatrzona sztandarem jakiegoś kraju, ma znaczenie propagandowe; pozatem jest jako dźwięk, zrozumiały dla wszystkich, sztuką międzynarodową i, o ile jest wartościowa, przemawia silniej, aniżeli najlepiej zorganizowana propaganda muzyczna.

W Konserwatorjum popisywały się trzy siostry Kotanji: Nelly, Eliza i Klara, pianistki węgierskie, Kon-

*) Zanim artykuł ten znajdzie się w rękach czytelników, film Gance’a zapewne ukaże się na ekranach warszawskich.

certy na kilka fortepianów i transkrypcje wszelkiego rodzaju na taki zespół—są obecnie bardzo w modzie; więc siostry Kotanji, zgrane dobrze, zbierały rzesiste oklaski za oryginalne koncerty Bacha i Mozarta, oraz transkrypcje Falli, Berlioza-Liszta i Hubaya.

Z O P E R Y

„Bal maskowy“ Verdiego widzimy w Operze tylko zrzadka i w programie gościnnych występów. Ale ponieważ jest to opera bardzo lubiana, publiczność zjawia się licznie, niezależnie od obsady. Tym razem śpiewała Amelję p. Rena Pfiffer-Lachs, śpiewaczka wiedeńska, o zdecydowanej kulturze dramatycznej w śpiewie. Jej silny, duży głos, o błyszczących wysokich tonach i łagodnej średnicy, daje niezawsze piękną frazę; ale mimo te usterki, sopran dramatyczny p. Pfiffer jest właściwy do obsady partyj, w naszej operze nigdy nie zdecydowanych, z powodu braku kształconych celowo głosów dramatycznych. Pozatem, tak odpowiedzialne partje, jak pazia w „Bal maskowym“, powierza się p. Orłowskiej, zamiast wyzyskać błyskotliwą koloraturę p. Bandrowskiej-Turskiej. P Romejko tremoluje i nie nadaje się do partji Renata. Dla Dygasa „Bal maskowy“ pozostanie partją popisową: artysta jest w roli Ryszarda nieporównany; szkoda tylko, że słyszy go się tak rzadko. Chór nie jest w porządku, orkiestra pod dyrekcją Sillicha głaszy często śpiewaków.

P. L.

dukcji, stwierdza, że projektowany pięciodniowy tydzień pracy nie przyniesie najmniejszego uszczerbku krajowi, a raczej przeciwnie, podniesie zdrowotność mas i odbije się dodatnio na przyszłym pokoleniu.

W kraju, gdzie wydajność pracy dochodzi do maksimum, gdzie społeczeństwo w przeciągu pięciu dni wypracowuje taką ilość produktów, na jaką u nas, w Polsce, potrzeba conajmniej piętnastu dni — podjęta przez Ligę Kobięcą kwestja bynajmniej nie powinna być uważana za mrzonkę utopijną.

Doczeka się, napewno, pomyslnego załatwienia. H. S.

SENSACYJNA ANKIETA

Przed paru miesiącami jeden z tygodników londyńskich, poświęconych sprawom kobiecym, wystosował do 10.000 młodych mężatek, ze wszystkich sfer towarzyskich, ankietę na temat:

— Czem oczarowała pani swego męża?

Liczne odpowiedzi, które nadeszły do redakcji, malują w charakterystyczny sposób współczesne życie w państwie brytyjskiem.

Jak się okazało, bowiem, przeszło 50% młodych mężatek poznało swych przyszłych małżonków w klubach sportowych podczas rozmaitych konkursów: tenisowych, golfowych, hockey czy polo.

Nie dość na tem, że młode dziewczęta stawały do zapasów na placach sportowych narówni z mężczyznami; zwracały uwagę partnerów znakomitą grą, wygrywanymi z łaźwością game'ami, lub doskonałym pływaniem, wiosłowaniem, czy prowadzeniem auta. Tą drogą najprędzej i najłatwiej podbijały serca swych wysportowanych rodaków.

Drugim „niezawodnym“ terenem popisów płci pięknej wobec płci brzydkiej jest — stolik zielony. Na 10.000 mężatek 2360 zdobyło uwielbienie i uczucie swych przyszłych małżonków podczas po mistrzowsku rozgrywanych partyj bridge'a.

Następnie, zaledwie 1/50 mężczyzn dała się podbić tańcem, a 1/10 — śpiewem i muzyką... i tylko 23 niewiasty wyszły zamąż dzięki wybitnym zaletom gospodarskim i sławie umiejętnego przyrządzania potraw.

H. S.

ARESZTANTKI CHCĄ BYĆ MODNIE UBRANE

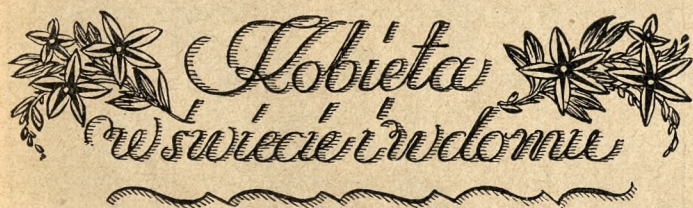
W kobiecym więzieniu w Bedford, w Anglii, aresztantki — za dobre sprawowanie się i ciężką pracę — otrzymują w nagrodę książki i gazety do czytania.

Władze więzienne zostały, jednak, niemało zadziwione, gdy przymusowe lokatorki tej instytucji poprosiły o sprowadzenie dla nich najmodniejszych żurnali mód.

Po długim namyśle, na skutek wyjątkowo dobrego zachowania się nieszczęśliwych kobiet, życzeniu ich stało się zadość. W więzieniu tem przebywają niebylejakie przestępczynie; niektóre z pośród nich muszą pokutować za swe zbrodnie, długie, długie lata; są i takie, które nigdy nie uzyskają wolności... nie przeszkadza to im jednak marzyć o pięknych sukniach.

Nie dość na tem: aresztantki, przebywające w więzieniu od kilku lat, porównując swe długie, niemodne toalety, które wkładają od święta, z oglądaniem obrazkami w żurnalach mód, zmartwiły się serdecznie i zwróciły do zarządu więzienia z nową prośbą, aby zezwolił im obciąć długie suknie i długie włosy... gdyż mężczy je świadomość, że są niemodne ubrane. Narazie nie możemy jednak poinformować kochane czytelniczki o decyzji zarządu, gdyżż mniemamy, iż będzie się on namyślał bardzo, bar.

H. S.



AMERYKANKI WALCZĄ O 5-DNIOWY TYDZIEŃ PRACY

Głośna ze swej działalności, założona przed pięciu laty Kobięca Liga Przemysłowa w Stanach Zjednoczonych, która już dziś łączy przeszło 20 organizacyj kobiecych, uchwaliła na ostatnim swym zjeździe wniosek podjęcia żarliwej walki o... pięciodniowy tydzień pracy dla kobiet.

Racje wysuwane — są następujące: wysoka wydajność pracy robotnic amerykańskich, gruntowna specjalizacja, wprowadzenie do warsztatów nowych, ulepszonych maszyn i instrumentów, które wymagają olbrzymiego napięcia uwagi i sił — wpływa wyczerpująco na cały organizm kobiety.

Nie wystarczy jednej niedzieli i bodaj połowy soboty na wyrównanie tego zmęczenia, jeżeli weźmie się jeszcze pod uwagę, że każda pracownicę fabryczną czekają w domu obowiązki matki, gospodyni, żony.

Z drugiej strony — Liga Przemysłowa, wychodząc z założenia, że rynek zbytu produktów nie osiąga nigdy wysokości pro-

DWA STYPENDJA MIĘDZYNARODOWE

Nawiązując do wzmianki, którą podaliśmy w Nr 2 „Bluszczu”, p. t. „Śpieszcie się, Polki!”, — o Międzynarodowej Federacji kobiet z wyższym wykształceniem, — śpieszymy zakomunikować, że Polskie Stowarzyszenie Kobiet z wyższym wykształceniem otrzymało, właśnie, z Cambridge zawiadomienie o dwóch stypendjach naukowych, ofiarowanych przez Girton-College w Cambridge, dla cudzoziemek z ukończonymi studjami wyższymi.

Stypendja przyznane są na 3 lata na studia w zakresie badań matematyczno-przyrodniczych (każde po 300 funtów szterlingów rocznie).

Podania o stypendja należy kierować do sekretariatu Polskiego Stowarzyszenia Kobiet z wyższym wykształceniem, na ręce dr. H. Więckowskiej, Warszawa, Klonowa 14. H. S.

PREZENT NOWOROCZNY

Znany ze swej akcji „ratunkowej” w Stanach Zjednoczonych pewien Związek, mający na celu zwalczanie epidemii rozwodów, ogłosił, jako upominek noworoczny dla Amerykanek i Amerykanów, — statystykę rozwodów za rok ubiegły w Ameryce.

Okazało się, że ze Stanami Zjednoczonymi rywalizować może chyba tylko Rosja Sowiecka.

W państwie tem, bowiem, za rok 1927 zawarto w Petersburgu 9,685 małżeństw i przeprowadzono w tem jednym tylko mieście — 7,255 rozwodów.

W Ameryce zaś, w roku ubiegłym jeden rozwód wypadł na 7 małżeństw. Nieźle!

Ze statystyki, podanej przez Związek przeciwko-rozwodowy, przytaczamy zaledwie kilka bardziej charakterystycznych zestawień.

W Kanadzie na 160 par małżeńskich — rozwodzi się zaledwie jedna; w Anglii jeden rozwód przypada na 96 małżeństw; w Szwecji — na 33 małż.; w Niemczech — na 24 pary, a już chyba najgorzej jest w Szwajcarii, gdzie każde 16-te stadło małżeńskie pragnie ratować się rozwodem!

Ciekawa rzecz, jakby podobna statystyka wypadła u nas?

Może jakieś Stowarzyszenie, czy Związek, przygotowuje podobne zestawienia w Polsce na przyszłą gwiazdkę? H. S.

DLACZEGO KOBIETY POWINNY BYĆ W SĄDACH PRZYSIĘGŁYCH?

Kobiety w Austrii rozpoczęły energiczną akcję o równomierne ustosunkowanie obu płci przy powoływaniu sędziów przysięgłych. Dr. Marja Beth zaznaczyła w specjalnie zorganizowanym odczycie agitacyjnym, że dotychczas do składu sędziów przysięgłych powołuje się jedną, najwyżej dwie kobiety, gdy tymczasem liczba kobiet wynosi w Austrii 65 proc. ludności. Instytucja sądu przysięgłych nie jest, jak twierdzą jej przeciwnicy jakąś korekturą sądów fachowych, lecz, poprostu, udziałem publicznego sumienia całej ludności kraju w działaniu sprawiedliwości — sądowym parlamentem. Dlatego też kobiety powinny być w niej uwzględnione narówni z mężczyznami. N. J.

KOBIETA—TWÓRCZYNIĄ SŁOWNIKA ANGIELSKIEGO

Z ostatniego n-ru „Daily Telegraph” dowiadujemy się, iż Wielki Słownik języka angielskiego, rozpoczęty przed 50 laty przez profesora James Murray w Londynie — został doprowadzony w tych tygodniach, przez wdowę po zmarłym uczonym, do końca.

Wytrwała kobieta poświęciła tej rzetelnej pracy 25 lat swego życia i nie spoczęła, dopóki wielkie dzieło nie zostało ukończone.

Dziś Mrs. Murray, w sędziwym już wieku, budzi powszechne uznanie wśród swych rodaków.

Cześć dla wielkiej pracy kobiety!

H. S.

PLACÓWKI, ZDOBYTE PRZEZ KOBIETY

Pisma włoskie sygnalizują, że aż 4 kobiety we Włoszech objęły, ostatnio, katedry profesorskie.

Nazwiska szczęśliwych wybranek losu są następujące:

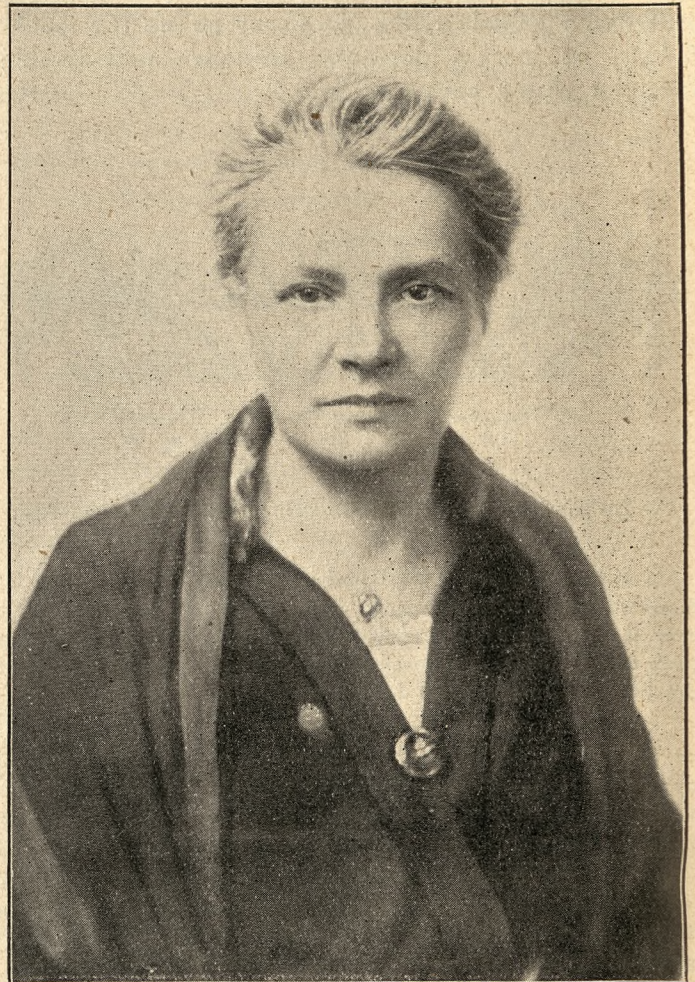
W Pawji katedrę matematyki zajęła Pia Natti; katedrę zoologii w Medjolanie — Rina Monte. — filozofji w uniwersytecie w Cagliari — Cecillia Dentice i — katedrę fizyki eksperymentalnej w Ferrarze — Ritta Brunetti. H. S.

KOBIETA—PRZEWODNICZĄCĄ RADY ZWIĄZKOWEJ AUSTRIACKIEJ

Niezwykle wysokie stanowisko zdobyła w Austrii posłanka do Rady Narodowej, wybrana z Grazu, jako członkini stronnictwa chrześcijańsko socjalnego, pani Olga Rudel-Zeyneck. Została ona wybrana przewodniczącą austriackiej Rady Związkowej (Bundesrat)

Olga Rudel-Zeyneck wstąpiła do życia politycznego z chwilą ogłoszenia republiki austriackiej. Doskonała mówczyni, zrobiła bardzo szybko świetną karierę polityczną, odnosząc liczne sukcesy w zakresie prawodawstwa. Pierwszym z nich było przeprowadzenie w Radzie prawa zakazu sprzedaży alkoholu młodzieży niepełnoletniej; dalej, prawa — jednogłośnie przyjętego, że mężczyźni, posiadający pracę, a odmawiający utrzymania żonie, dzieciom, lub starym, nieodłącznym rodzicom, będą karani więzieniem.

Po kilkuletniej pracy w Radzie Narodowej, wybrano Olę Rudel-Zeyneck do Rady Związkowej, która ofiarowała jej obecnie godność przewodniczącej. N. J.



Przewodnicząca austriackiej Rady Związkowej

PSYCHOLOGJA MODY ³

Mężczyzna tworzy kobietę. Tworzy ją przez swoją tęsknotę i swoje marzenie. Ta wyśniona kobieta nie jest kobietą realną. Jest ona jakgdyby zespoleniem cech, najbardziej wyidealizowanych, czy też najbardziej umiłowanych przez danego mężczyznę. To urabianie ideału jest pewnego rodzaju twórczością. Są, którzy w tej twórczości okazują samodzielność. Ci, jeśli im dana jest możliwość urzeczywistnienia w jakimś materiale ich wizji—są artystami. Stawiają przed tłum zrealizowaną, skonkretyzowaną w kamieniu, na płótnie, w opisie słownym, postać idealną. Tak powstaje Wenus narodów i Wenus epok. Zrodzona w wyobraźni twórców, narzuca się odtąd wyobraźni całych pokoleń. Urzeczywistnione marzenie artysty staje się prawzorem tęsknoty tłumów, wiąże się z temi czysto indywidualnymi czynnikami, które żyją na dnie duszy każdego. W ten sposób nawiązuje się nic między najbardziej skrytem i najbardziej osobistym pragnieniem każdego indywiduum, a tym typem idealnym, który stwarza sobie epoka, naród, a nawet warstwa społeczna.

Rola kobiety jest w tem wszystkim biblijnie prosta. Wszakże powiedziane jest, że powstała ona z żebra Adamowego. I tak dzieje się ciągle jeszcze. Jej jedynym pragnieniem jest urobić się tak, by stać się odpowiednikiem marzenia mężczyzny. I jeśli podziwu godna jest zmienność i różnorodność twórczości mężczyzny w tym kierunku, to niemniej podziwu godna jest owa niesłychana giętkość i łatwość, z jaką kształtuje kobieta samą siebie, przeinaczając w niesłychany sposób swoje cechy — zdawałoby się, najistotniejsze.

Kiedy średniowieczni rycerze, przejęci ideałami chrześcijaństwa, wymarzyli sobie kobietę bogobojną, skromną, pełną szlachetnej wstydlivosti—wówczas postać wszystkich kobiet urobiła się według tego typu. A nie ulega wszakże wątpliwości, że nie każda z nich była świętą i nie każda—bogobojną. Ale każda stylizowała się według tego ideału. Powłóczysta szata, skromnie spuszczone głowa, cofnięta pierś i wysunięte ramiona—były ową modą, która narzucała wszystkim formę bycia.

A któż stworzył naszą dzisiejszą „la garçonne“? Czasy nie są odległe i twórcy dobrze są znani. Pojawiła się owa krótkowłosa chłopczyca naprzód w powieści. Potem w music-hallach paryskiego Mont-Martu, wystylizowana dokładnie przez paryskich malarzy. Wystawiona na pokaz, spodobała się. I odtąd wszystkie—szeroko i wąsko-biodre, stare i młode, pętnęte i szpetne—upodobniły się do ucieleśnionego ideału czasu. Niewątpliwie, że nasze warunki życia, zmuszające do pracy i ruchliwości, sprzyjają podobnym przemianom. I może dalibyśmy się uwieść pozorom i złożyli na karb warunków zewnętrznych to,

co się stało; lecz historia dostarcza nam zbyt często dowodów na to, że trwać mogą formy ubiorów, wręcz przeciwne warunkom, i że przystosowanie do życia następuje wówczas tylko, kiedy jest zgodne z wewnętrzną potrzebą chwili.

Z tego, cośmy powiedzieli, wynikałoby, że rola kobiety w tym całym procesie tworzenia się nowych form mody jest nawskroś bierna. Przejmuje ona tylko i urzeczywistnia na sobie ideał mężczyzny. Ale czyż nie jest ona ze swej strony twórcą typu płci odmiennej? Niewątpliwie, że dzieje się i to, ale bodaj jednak w ciśniejszych granicach. Jeśli chodzi o stosunki w wiekach ubiegłych, to jednakże ubiór mężczyzny w większej mierze, aniżeli kobiety, zależny był od warunków zewnętrznych, od zatrudnienia i pracy. A przytem mężczyzna, jako z natury swej bardziej aktywny, raczej tworzył sam siebie, aniżeli pozwalał się tworzyć. Niemniej, ukryty motyw podporządkowania się kobiecie da się niewątpliwie wykazać. I to zarówno w formie pośredniej, jako współzawodnictwo i ubieganie się o względy wybranej, jakoteż bezpośrednio, przez urabianie się na modłę ideału.

Charakterystyczną, zresztą, jest rzeczą, że wraz ze wzrostem samodzielności kobiety zwiększa się także jej wpływ na modę męską. Czyż nie jest dziwne, że dzisiejszy typ piękności męskiej ma jakgdyby pewne cechy kobiece — n. p. brak zarostu? Bohaterowie ekranu są najczęściej z rodzaju piękności chłopięcej, nieco zniewieściałej. Niewątpliwie odzwierciedla się w tem psychologia współczesnej kobiety, tak jak w „chłopczycy“ — psychologia współczesnego mężczyzny.

Jeśli się teraz zapytamy o przyczynę niezrozumiałych, na pozór, przemian w dziedzinie mody, to odpowiedź na to będzie już łatwa do znalezienia. Z chwilą, gdy moda ta wypływa zasadniczo ze współpracy instynktu z wyobraźnią, to nic dziwnego, że formy jej znadują się w trakcie wiecznego stawania się, wiecznej przemiany, jak życie samo. Każde urzeczywistnienie marzenia jest wszakże zarodkiem nowych pragnień i nowego szukania dróg do ich urzeczywistnienia. Tembardziej, że całe skomplikowane warunki życia zwiększają jeszcze ilość tych czynników, które prą do przemian.

Rozpatrywaliśmy tu, zresztą, zagadnienie mody, jako zagadnienie twórczości człowieka na sobie samym, w oderwaniu od innych rodzajów jego twórczości. W istocie podziału takiego niema. Niema przepaści, któraby dzieliła twórczość, we właściwym tego słowa znaczeniu, artystyczną, od twórczości w dziedzinie mody. Istnieje też ścisły związek między formami bycia człowieka i jego ubiorem, a formami, jakie nadaje dziełom sztuki, sprzętom, narzędziom i domostwom, które zamieszkuje. Te same, bowiem, czynniki, które wytwarzają jego ideał formalny w zakresie własnej osoby, odzwierciedlają się też we wszystkim,

cokolwiek kształtuje jego wyobraźnia twórcza. To wszystko razem stanowi jakgdyby wspólną atmosferę, którą możemy nazwać poczuciem formalnym danej epoki.

Dr. Stefania Zahorska.



COŚNIECOŚ O NARCIARSTWIE

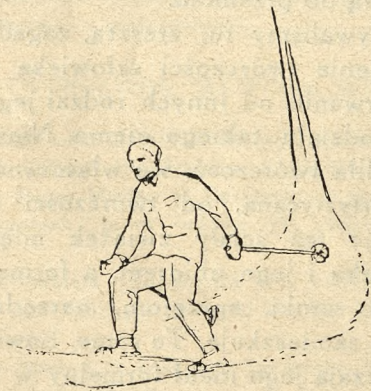
ZATRZYMANIE SIĘ: SIADOL, PRZESKOK, CHRYSTJANJA I TELEMAR. NOSZENIE NART

IV

Jeśli chodzi o zatrzymanie się, to mamy również na to wiele sposobów. Najłatwiejszym i wymagającym najmniej nauki będzie, oczywiście, tak zwany pospolicie siadol, czyli wywrócenie się; ale nie jest to sposób, godny polecenia; zresztą czasem może być bolesny. Lepiej już jest zacząć płużyć, a rozstawiając tyły szeroko, i mocno zacinając krawędziami, możemy zahamować zupełnie. Oczywiście, wymaga to dużo miejsca i czasu. Gdy musimy zatrzymać się momentalnie, robimy to przeskokiem. Przeskok jednak wymaga przy nauce pewnego rodzaju determinacji i odwagi, mamy więc mniej straszne sposoby, jak chrystjanja i telemark.

Przy obu tych ewolucjach ważną rolę gra położenie tułowia, którego nachylenie i ruch w odpowiednim momencie przyczynią się do natychmiastowego stanięcia. Oczywiście, musimy też zacinać krawędziami nart, ale bez tego żadna prawie ewolucja nam się nie uda, i dlatego dbać musimy, aby krawędzie były ostre, gdyż przy zaokrąglonych trudno jest cokolwiek zrobić.

A więc—chrystjanja. Zrobimy ją bez specjalnego trudu, jeśli już dobrze opanowaliśmy łuki: poprostu dostawiamy nartę nie łagodnie, a gwałtownie, zacinając energicznie krawędziami i skręcając tułów w skoku. Musimy tylko bardzo uważać, żeby tyły nart się nie skrzyżowały, bo wtedy zamiast chrystjanji z oporu,



Chrystjanja szerokotorowa



Telemark w końcowym momencie

zrobimy zwykły siadol. Chrystjanję można jeszcze zrobić bez uprzedniego rozstawienia nart: jest to wtedy chrystjanja czysta, wymagająca już wielkiego opanowania nart. Wykonujemy ją, jak następuje: chcąc zatrzymać się, skręcając, dajmy na to, w prawo, w jeździe wysuwamy lekko nartę prawą, na krótką chwilę przenosimy opór ciała na przody nart, aby w następnym momencie tem silniej obciążyć tyły; jednocześnie silnie skręcamy tułów w lewo, uginając go w biodrach do skoku, i robimy ruch taki, jakgdybyśmy chcieli usiąść na krzesło po prawej stronie. Nachyleni do stoku, silnie napieramy na tyły, tak że ma się wrażenie unoszenia dziobów; wreszcie, obciążając całą nartę, kończymy skręt. Chrystjanja czysta, jak widzimy, wymaga dużo techniki. Utrzymanie równowagi jest utrudnione przez wąskie położenie nart, przy którym musimy skręcać tułów.

Telemark jest popisową ewolucją, szczególnie w puszystym śniegu, jednak w szreni rzadko bywa używany i bez niego można się obejść doskonale. Wykonujemy go w pozycji wypadnej, którą dlatego nazywamy czasem telemarkową. Trzeba tu najpierw nauczyć się zjazdu dużemi wypadami, gdy dziób jednej narty jest na wysokości więzby drugiej. Gdy już tę pozycję dobrze opanujemy, zaczynamy się uczyć skrętu i zatrzymania. A więc w zjeździe robimy wypad np. nartą lewą, zacinaemy krawędzią wewnętrzną, wypierając tył nazewnątrz i unosząc prawie dziób; drugą nartę, odciążoną, prowadzimy płasko za sobą, pamiętając, aby dziób jej stale przywierał do narty wypadnej. W tym momencie przenosimy ciężar ciała z pięty w palce nogi lewej wypadnej, dostawiamy nartę prawą, wysuwamy ją nieco wprzód i, zacinając prawymi krawędziami, stajemy.

Wczacie skrętu przedudzie tworzy z nartą kąt, zbliżony do 90°, a tułów jest silnie nachylony do wnętrza łuku. Nachylenie tułowia zależy od gwałtowności skrętu i od oporu, jaki stawia śnieg.

Jeszcze jedna umiejętność bardzo nam się przydać może, choć nie dotyczy ona jazdy. Mam na myśli noszenie nart. Często warunki zmuszają nas do wędrowania, niosąc narty na ramionach, i jeśli będziemy to robili nieumiejętnie, prędko się zmęczymy, pod-

czas gdy nie powinno się wcale prawie odczuwać ciężaru niesionych nart. W tym celu składamy narty powierzchniami ślizgowymi (dobrze jest spiąć je rzymkiem), kijki wkładamy jeden w drugi, (grot kijka w kółko drugiego) i zakładamy narty na jedno ramię, kijki na drugie tak, aby się ztyłu krzyżowały, przy czem kijki idą pod spód. Ręce wyciągnięte opieramy z przodu na nartach i kijkach, tworząc w ten sposób dźwignię dwuramienną z oparciem na ramionach: ciężar rąk równoważy ciężar części nart, znajdującej się ztyłu, i w ten sposób męczymy się stosunkowo najmniej. Idąc po płaskim terenie, możemy ciągnąć narty za sobą na t. zw. „piesku“, czyli poprostu przewlekamy sznurek przez dzioby nart; ale jeśli jest dostateczny śnieg, to przecież lepiej mieć je na nogach i jechać.

O skoku na nartach nie będę mówiła, gdyż jest to gałąź narciarstwa przez niewiasty nieuprawiana, ze względów zdrowotnych.

Choć tak długo pisałam o wszelkich sztukach narciarskich, można się ich wszystkich nauczyć w ciągu paru dni pilnej pracy na boisku. Skoro już opanujemy zjazd, łuki, płużenie i jeden ze sposobów zatrzymywania się,—możemy śmiało iść na wycieczkę, gdyż najlepiej nabierzemy wprawy w terenie, gdzie musimy wykonywać coraz to inne ewolucje, a na każdym kroku czeka nas niespodzianka.

L. R.

GASTRONOMJA POPRZEZ WIEKI

CZĘŚĆ II

Rzymianie z dawnych czasów, podobnie jak inne narody pierwotne, nie jadali wcale mięsa, z wyjątkiem dni świątecznych. Zwykłym ich pożywieniem były jarzyny, szczególnie cebula, czosnek i rzodkiew.

Rzymianie z początku kastrowali woły dla łatwiejszego ich ujarznienia; przekonawszy się, iż ta operacja dodatkowo wpływa na gatunek mięsa, zajęli

się również kastrowaniem kogutów. Stało się to, ponieważ początkiem hodowli drobiu.

Kontakt z Grecją, wywołany przez wojnę, wpłynął bardzo dodatnio na rozwój sztuki gastronomicznej rzymian, szczególnie po zdobyciu Sycylii, słynącej z najlepszych kucharzy. Zdobycie wysp Balearskich zapoznało rzymian z mięsem królików, odtąd bowiem zajęli się ich hodowlą.—Późniejsza aneksja Grecji dostarczyła rzymianom licznych zdobyczy gastronomicznych. Weszła w użycie zwierzyna, różne jarzyny, jak np. szparagi, grzyby, marchew, trufle itd., oprócz tego orzechy, brzoskwinie, pochodzące z Persji, oraz różne inne owoce. Morele, cytryny, ogórki sprowadzano z Azji. Afryka dostarczała melonów, które przeważnie hodowano w okolicach miasta Cantalupy, skąd nazwa melona jednego z lepszych gatunków.

Rzymianie chętnie zajmowali się rybołówstwem, co dostarczało im obfitej ilości ryb; nie brak też było zwierzyny. Sergius Orato pierwszy wprowadził hodowlę ostryg.—Rzymianie byli dobrze obeznani ze sztuką wędzenia i doskonale umieli przyrządzać wszelkiego rodzaju wędliny, jak szynki, kiełbasy itd. Co się tyczy gatunku win, to adoptowali wina, znane w Grecji, jak również i wino Reńskie.

Fatalnem następstwem dobrobytu materialnego rzymian stały się wszelkiego rodzaju nadużycia. Jedynym celem stały się dla nich rozkosze podniebienia, rozpusta i marnotrawstwo; to też [szybkim krokiem szli do upadku.

Heliogabal, liczący zaledwie 18 lat, zakasował swych poprzedników Cezarów. Rozkazał, mianowicie, aby podczas uczt, które urządzał, w celu uświetnienia dań, do każdego z nich były dodawane złoto, perły i drogie kamienie. Miał on sekretarza, którego obowiązkiem było opisywać owe uczy; stąd też doszły do nas rozmaite szczegóły ówczesnego zwyrodnienia.

Sława rzymskich orgij dotarła do barbarzyńców, których inwazja trwała 3 stulecia i pogrążyła w mroku cywilizację starożytną, umierającą z niestrawności. Pod dobroczynnym wpływem chrześcijaństwa sztuka kulinarna uproszczyła się, a po okresie ascetyzmu postawiła sobie za cel, by potrawy uczynić strawnymi i smaczniemi,

Premje dla prenumeratorek „Bluszczu“

Ponieważ premje, przeznaczone dla Czytelniczek innych naszych wydawnictw, wzbudziły wielkie zainteresowanie wśród prenumeratorek „Bluszczu“, postanowiliśmy udzielić je także tym wszystkim prenumeratorkom, które wpłacą do dnia 1-go lutego r. b. do Administracji — Warszawa, Krak. Przedm. 99, pełną **półroczną prenumeratę „Bluszczu“, w sumie 34 zł. 80 gr.**

Na premje przeznaczamy do wyboru: **zaczętą robotę wraz ze wszystkimi dodatkami (haft biały, lub kolorowy), lub książkę dr. Julji Świtaiskiej p.t.: „Piękność i zdrowie w życiu kobiety“.**

Osoby, które już opłaciły miesięczną, lub kwartalną prenumeratę, a chcą otrzymać premje, mogą do dnia 1-go lutego dopłacić resztę prenumeraty do wysokości półrocznej.

Rozwój ogrodnictwa, dzięki życiu klasztornemu, wprowadził w użycie różne jarzyny i owoce.

Ustalenie dni postnych wzbogaciło repertuar kuchni barbarzyńskiej. Posty i abstynencje nauczyły cenić potrawy proste. W klasztorach zakonnicy byli obowiązani, podług reguły klasztornej, kolejno sami przyrządzać jedzenie. Stało się to początkiem nowego rozwoju gastronomii.

Kuchnia w klasztorach była zawsze doskonała, dzięki świeżości produktów i umiejętnemu przyrządzeniu potraw. Klasztorowi bezsprzecznie zawdzięczamy rozwój zasad racjonalnej sztuki gastronomicznej.

Od 12-go do 13-go wieku, w czasie wojen krzyżowych, gastronomia była zaniedbana. Wojny nie pozostały bez wpływu, nawiązując kontakt między Zachodem i Wschodem. — Import cukru, pieprzu, anyżu, szafranu, syryjskich śliwek, cytryn rodem z Chin, ryżu z Indyj — zawdzięcza gastronomia Wschodowi — pomimo to, kuchnia średniowieczna była nieszczęśliwa. Na licznych festynach akcesoria grały większą rolę, niż same potrawy.

Godnym uwagi jest fakt nadmiernego używania różnych korzeni.

Dopiero w epoce Odrodzenia daje się zauważyć postęp sztuki kulinarnej.

Kuchnia francuska bezsprzecznie zajmowała pierwsze miejsce. Wraz z Marią Medycejską przybył do Francji cały rój włoskich kucharzy, posiadających tradycję rzymskiej sztuki kulinarnej. W tym czasie pojawiły się również pierwsze likiery. Henryk III wprowadził używanie widelca.

Ludwik XIV był raczej żarłokiem, niż smakoszem. Obiady królewskie składały się z 20 do 30-tu dań. W tym czasie wchodzi poraz pierwszy w użycie wino szampańskie. Sława kuchni francuskiej datuje od czasu Regencji.

Ludwik XV był nie tylko wielkim smakoszem, lecz i doskonałym kucharzem, który kawę stale przyrządzał własnoręcznie. Za panowania Ludwika XV został wprowadzony ananas, najbardziej cenione i poszukiwane sery, jak: Brie, Roquefort, Cantol, Livarot i inne. Wprowadzono również mnóstwo nowych potraw i sosów, między innymi Bechamel i Soubise. Ukazują się też różne ciastka i łakocie. Wina Burgundzkie i Bordskie cieszą się zasłużonym powodzeniem.

W 17-tym wieku niejaki pan Boulanger zakłada pierwsze restauracje w Paryżu.

Napoleon I był wielkim strategikiem, lecz marnym gastronomem, absolutnie obojętnym na kombinacje kulinarne; jedzenie zdawało się być dla niego przymusem; pomimo to stół cesarski odznaczał się zbytkiem i obfitością. — Ludwik XVIII natomiast był znanym smakoszem i gastronomem. Od połowy 19-go wieku kuchnia pozostała prawie taką, jak za naszych czasów.

Sztuka kulinarna francuska jest w pełnym rozkwicie; wyższość jej nad innymi kuchniami przejawia się we wszystkim: w udoskonaleniu potraw, układaniu menu, w przybraniu i nakryciu stołu itd.

Wyższość tę Francja zawdzięcza doskonałym ogrodnikom, pierwszorzędnym hodowcom, umiejętnej fabrykacji serów i różnych ekstraktów do sosów i zup: są one bowiem podwaliną dobrej kuchni. — Nie dowodzi to jednak, by inne narodowości nie posiadały dobrej kuchni, i wysoko rozwiniętej sztuki kulinarnej.

S. S.



POMYSŁOWOŚĆ W KUCHNI

Nie wiem, czy to nasze zwykłe przywiązanie do tradycji, czy równie tradycyjna niechęć zaprzętania sobie głowy — powodują, że pod względem jadłospisów domowych, a nawet restauracyjnych, jesteśmy dziwnie mało pomysłowi; a jeśli wypadkiem coś do nich nowego dodamy, lub starego wykreślimy — to już na lata całe! Mamy kuchnię, wprawdzie smaczną, lecz ciężką i nieurozmaiconą. W codziennym życiu: rosół, barszcz; zupy: pomidorowa i cytrynowa, grochówka i kapuśniak; — kotlety, pieczeń wołowa, cielęca, barani a, schab i kura pieczona; — kompot, omlet, (zawsze źle wykonane), ryż z konfiturami, krem waniljowy i cytrynowa galareta.

Obiad proszony: rosół z pasztecikami (z cukier-ni!), sandacz w majonezie, indyk z borówkami i tort (z cukierni). Kolacja proszona: tenże sandacz w majonezie (dla odmiany — w galarecie), indyk z borówkami (dla odmiany — z kompotem) i znowu tort z cukierni — i tak wkołko. Szczupak faszerowany po żydowski i polędwica z garniturem świadczą już o pracowitości kucharzki i dbałości o pewną różnorodność pani domu. Jeszcze zabawniej wygląda nasz konserwatyzm w restauracji, o ile, naturalnie, chodzi o gości przygodnych, gdyż stali bywalcy znają specjalności każdej z nich i umieją wybrać najlepsze smakołyki.

Oto po balu siedzi towarzystwo z sześciu osób, jadające rzadko poza domem. Karta restauracyjna oficie zaopatrzona, lecz z sześciu osób — pięć napewno wybierze: majonezik z ryby (przed wojną — z homara), sznycel cielęcy, lub indyka z borówkami (natura oszczędna, lub rozrzutna!) i melbę, na którą się składają rozmaite ornamenta, kryjące malutką porcyjkę treści jej głównej, czyli lodów. A ten szósty, co je chociażby węgorza w galarecie, lub chaud-froid z kwiczołów i kotlet barani „soubise“, lub steak z sarniny, a na zakończenie jakiś niewinny suflecek waniljowy, — jest pocichu, lub nawet głośno uważany za niebez-

piecznego nowatora, którego lekkomyślne eksperymenty mogą na szwank narazić jego szacowne zdrowie.

Otóż, ponieważ lubimy śledzić za modą, a wszelka moda wykwiwna pochodzi z Paryża, więc musimy się podzielić z czytelnikami „Bluszczu“ sensacyjną wiadomością, że w stolicy świata weszło w modę zajmowanie się kuchnią, studjowanie i układanie jadłospisów. Nie wiem, czy to stoi w jakim związku z zapowiadaną modą bardziej zaokrąglonych kształtów, ale zostało już rzucone hasło: „à bas le bas bleu!“ (kobieta uczona), „vive le cordon bleu!“ (wykwintna kucharka).

I nie chodzi tutaj o te kobiety z klasy średniej, które z konieczności nie są w stanie trzymać służby i same cały ciężar gospodarstwa domowego dźwigają. A nawet i w takich warunkach francuzki są doskonałymi gospodyniami, i ich codzienne jadłospisy składają się z sześciu do siedmiu dań na obiad i czterech do pięciu na śniadanie (obiad jest tak późno, że kolacji się nie jada) — dań lekkich, niekosztownych, a urozmaiconych i smacznych. Chodzi tu o wybranki losu, o te bogate kobiety, które rozporządzają liczną służbą i których jedynym zajęciem jest wprowadzanie piękna do życia. Oczywiście, kobiety te, wyrafinowane, a nawet przerafinowane, pomysłowość swą posuwają do granic dziwactwa, o czym świadczy menu następujące, wynalezione przezemnie w jednym z pism: „Jajecznica z werbeną (kwiat, czy perfumy?), racuszki z solek (ryba) z sosem waniliowym. Udziec sarni z parmezanem i ostrygami, sałata z ananasa, kakisów (owoc japoński, kształtem i smakiem przypominający pomidora) i mimozy, (znowu—kwiat, czy perfumy?) i na zakończenie legumina z czarnych jagód z imbirem, polana sosem z pomadek czekoladowych.”

Narazie sądziłam, że to jest żart z czytelnika; po uważnem jednak powtórnem przeczytaniu przekonałam się, że mówi się o tym dziwolągu serjo, jako o nieco fantazyjnym, lecz wykonalnym wytworze wyrafinowanej pomysłowości.

Oczywiście są, to rzeczy, na które się nie odważy najbardziej hołdująca modzie polka, nawet ta, która, gwoli modzie, odmroziła sobie kolana, ani ta, co się tak wydekoltowała, że tancerz musiał w tańcu oprzeć rękę dużo poniżej pasa, jako o jedyne miejsce, pokryte suknią. Ale że nieco urozmaicenia potraw i w życiu codziennem, i w przyjęciach przydałoby się — to pewne. Nie mówię o głodzeniu domowników i gości. Nie uważam, aby zaciereczki na wodzie i kaszka z mlekiem (stosowane przez jakąś panią Fifinę, żądną nowej sukni balowej, a motywowane wskazówkami doktora) — były dostatecznem pożywieniem. Nie uważam też, aby można hołdować zwyczajom zagranicznym do tego stopnia, żeby gościom, tańczącym i bridżującym do piątej rano, podać tylko herbatę i cieniutkie tartynki (na srebrnych tacach i przez lokai w liberji) — bo w krajach, gdzie ten zwyczaj jest przyjęty, goście najpóźniej o północy się rozchodzą. Lecz wprowadzenie

lekkich, smacznych dań, przedłużenie posiłków przez dodanie przystawek — jest pożądane. Dań takich i przystawek całe setki podaje „Bluszcz“; jeszcze więcej, bo całe ich zeszyty, przynosi „Życie Praktyczne“ — nawet łamać głowy, jak te panie francuskie, nie potrzebujemy: przeczytać tylko i wykonać!

Na początek, zaproponuję jedną innowację, a raczej powrót do dawniejszych zwyczajów, — za co w pierwszym rzędzie będzie mi wdzięczna tańcząca młodzież, a zatem — prawie wszyscy i wszystkie, w wieku od lat szesnastu do — sześćdziesięciu. Żeby tak przywrócić do łaski przedwojenne lody? Nie było za owych, niezbyt jeszcze dawnych czasów, obiadu, ani kolacji z paru obcymi gośćmi, bez tej lekkiej i smacznej leguminy. Za rubla przynoszono ich formę z cukierni, formę, starczającą na sześć, a nawet osiem sporych porcyj. Mimo to skrzętne gospodynie uważały, że się opłaci lody robić w domu, bo wypadały jeszcze znacznie taniej.

Maszynki amerykańskie, przy których całą pracę kręcenia może wykonać nawet kilkoletnie dziecko (i z jaką radością!) tak ułatwiają ich wykonanie, że pozostaje kucharce, lub pani, zaprawienie syropu na lody owocowe, lub zaciągnięcie żółtkami i cukrem mleka, czy śmietanki na lody śmietankowe. I największa forma lodów będzie kosztowała ściśle połowę tego, co kosztuje — za ciężki po sutym obiedzie — tort cukierniczy. Szczególniej polecam lody owocowe, i kto ma zapasy syropów, zrobione latem, lub dużo kompotów w Wecku, — może je wykonać bez kosztu, a przynajmniej prawie bez wydatku w chwili obecnej. Lód, sól i trochę saletry — ta ostatnia ogromnie przyspiesza ścinanie się lodów — są niekosztowne i łatwe do nabycia. Syropy owocowe możemy użyć w takim stanie, w jakim są, rozrabiając je gotowaną wodą do smaku, — przyczem jednak należy zawsze pamiętać, że syrop na lody powinien być bardzo słodki, lepki prawie: w przeciwnym bowiem razie po zamrożeniu otrzymamy nie masłowate lody, a śnieżkowatą masę. Przyjemny kwasik możemy osiągnąć, dodając trochę soku cytrynowego, albo soli cytrynowej (kwasku). Na lody śmietankowe niekonieczną jest śmietanka: można je zrobić i z dobrego, tłustego mleka, powiększając odpowiednio ilość żółtek. Jeżeli na lody używamy owoców, konserwowanych na kompot, należy je rozdrobnić, przetrzeć przez gęste sito i zaprawić znacznie większą ilością cukru, niż lody z syropów.

Pani Elżbieta.

NA KARNAWAŁ
LIWOR SZYBKO SCHNĄCY, OBSYPKI DO LIWOR-
ZOWANIA, FARBY DO TKANIN, BATIKI, WZORY DO
LIWORZOWANIA
Poleca w wielkim wyborze
JULJAN BUROF
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 47. TEL. 36-44.
Wysyłka towaru za zaliczeniem.
Genniki i instrukcje gratis na żądanie.



PARĘ OGÓLNYCH UWAG O LODACH

Chociaż przy każdej, obecnie używanej maszynie do lodów, są zwykle dodane dokładne wskazówki jej użycia, uważam, że należy zwrócić uwagę młodych, a niedoświadczonych czytelniczek na niektóre, często popełniane przy tej robocie błędy.

Masę lodową należy przelewać do maszyny, gdy już jest zupełnie wystudzona, a maszyna ustawiona w lodzie (popróbować przed wlaniem masy, czy się łatwo kręci); uniknie się przez to topnienia dość kosztownego lodu. Masa lodowa powinna być bardzo słodka; cukru zawsze lepiej dodać więcej, niż mniej od ilości, podanej w przepisach. Soli do lodu nie należy żałować: lód bez soli zetnie lody na śnieg, a nie na masłowatą masę. Jeżeli robimy lody w kuchni lub w pokoju, a nie w lodowni, lub w piwnicy, należy do soli dodać parę łyżeczek saletry; jest to środek dosyć kosztowny, lecz znakomicie obniża temperaturę. Aby lód nie topniał zbyt prędko, ubić go mocno wałkiem około puszki i dopiero wtedy zacząć kręcić. Gdy korba zacznie ciężko się obracać, puszkę otworzyć, lody zeskrobać ze skrzydełek, skrzydełka wyjąć, masę lodową mocno ucisnąć, wyrównać; ponownie zamknąć puszkę, dokręcić, przykręcić kubek z lodami gubym kocem i trzymać w chłodzie ze trzy godziny przed podaniem. Chcąc podać formę w całości, wyjmujemy ją z lodu, obcieramy mocno chustą, umoczoną we wrzasku, przykrywamy półmiskiem, nakrytym serwetą, (aby się lody przy podawaniu nie ślizgały) i wyrzucamy je zręcznie na półmisek. Podając lody na talerzykach, lub w szklaneczkach, nabieramy je specjalną łyżką, formującą kulki, lub zwykłą łyżką metalową, jedną i drugą maczając każdorazowo w gorącej wodzie.

LODY ŚMIETANKOWE

Klasyczne lody śmietankowe, którym można dodać rozmaitego aromatu zapomocą wanilji, gorzkich migdałów (lub olejku migdałowego), skórki cytrynowej (lub cytrynowego olejku)—robi się w sposób następujący: Na litr śmietanki,—ośm żółtek, na litr niezbieranego mleka,—dziesięć żółtek. Śmietanka nie powinna być gęsta, a więc taka, jaką używamy zwykle do kawy; powinna natomiast być bardzo świeża, żeby się przy zaciąganiu nie zwarzyła. Z tej proporcji otrzymamy około półtora litra lodów, czyli ilość, dostateczną na 12—15 osób. Śmietankę zagotować z całowym kawałkiem wanilji (inne zapachy dodajemy po zaprawieniu lodowej masy). Żółtka utrzeć z czterdziestu deka cukru do białości, rozprowadzić kilku łyżkami śmietanki, zmieszać z resztą jaj i ogrzewać na zakrytej blasze, aż masa zacznie lekko gęstnieć, uważając, aby się nie zagotowała, gdyż żółtkaby się zwarzyły i cała nasza praca poszła na marne. Masę, tak przyrządzoną, postawić na chłodzie, aby zupełnie wy-

stygła. Zupełnie zimną wlewa się do formy i kręci, jak podano w ogólnych wskazówkach. W czasie, kiedy o świeże jaja trudno, można na tę proporcję wziąć tylko sześć żółtek, przez co masa będzie rzadsza; w takim razie, kiedy już masa lodowa przy kręceniu znacznie nieco gęstnieje, dodać do niej dwa lub trzy surowe białka: smaku lodów to nie zmieni na gorsze, a da pożądaną gęstość i masłowatość.

LODY KAWOWE

Są dwa sposoby przyrządzania lodów kawowych. Jeden dawny, bardzo kosztowny, ze względu na wygórowane ceny kawy. Polega on na tem, że świeżo upaloną kawę w ziarnach (około ćwierci kilo), zalewa się wrzącą śmietanką, przeznaczoną na lody, daje naciągnąć pod nakryciem przez godzin parę. Gdy śmietanka nabierze aromatu kawy, postępuje się z nią dalej, jak przy lodach śmietankowych. Drugi sposób jest oszczędniejszy. Ugotować szklanek bardzo mocnej i aromatycznej kawy bez cykorji i domieszki figowej, zmieszać ją z trzema szklanekami zagotowanej śmietanki (razem litr płynu), poczem dalej postępować, jak przy lodach śmietankowych, oczywiście nie dodając ani wanilji, ani żadnego innego aromatu. Chcąc lody kawowe podać, jako kawę mrożoną, zamrażamy je tylko do stanu kaszkowatego, przekładamy do malusich szklaneczek, lub filiżanek do kawy. Nakładamy je tylko do dwóch trzecich tych filiżanek, na wierzch każdej kładziemy po łyżce śmietanki bitej z cukrem i podajemy natychmiast, aby śmietanka nie opadła, a lody nie stopniały.

LODY ANANASOWE

Aby zrobić lody ananasowe, nie potrzebujemy dużo ananasa: wystarczy na półtora litrową porcję lodów kawałek dziesięcio dekowy świeżego ananasa, lub kawałek tejże wagi konserwy z puszki, lub z Wecka. Na litr wody dodać sok z pięciu, czy sześciu cytryn, uważając, aby ani odrobina skórki doń nie trafiła i nie udzieliła swego zapachu lodom. Sześćdziesiąt deka cukru (może być nawet więcej, kto lubi lody słodkie,) rozpuścić w tej wodzie; jeśli mało kwaśny, dodać jeszcze soli cytrynowej (kwasku), wystudzić, przelać do formy i zamrażać, jak zwykle. Gdy lody zaczną gęstnieć, wrzucić drobiuchno pokrajany, surowy ananas, trzy białka surowe i kręcić dalej, aż lody zupełnie się zetną. Dodawanie esencji ananasowej, stosowane przez kucharzy, ma tę ujemną stronę, że nie daje naturalnego aromatu ananasa, lecz posmak jakby rozpuszczonych landrynek, nieznośny dla osób o bardziej wyrobionym smaku.

LABORATORJUM
HIGIENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisu Dr. J. Świtalskiej

Jajeczka do mycia włosów. Płyn do włosów. „Mój puder higieniczny” we wszystkich odcieniach. Perleki białe i różowe do pielęgnacji cery i biustu. „Mój krem” (w tubkach). Krem do rąk. Galaretka na łojotok Nr 1 i 2. Krem na opaleniznę. Mydło cytrynowe, poziomkowe i liljowe. Nowość sezonu: Krem poziomkowy (udielikatniający). Krem cytrynowy (wybielający).

UWAGA: dla dzieci krem, puder i mydło ziołowe.
HIGIENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

PRZEGLĄD KARNAWAŁOWY

U JANISZEWSKIEGO

Sklep W. Janiszewski i ska, przy ul. Marszałkowskiej 145, znany jest z doskonałego kroju i solidności wykonania okryć i kostjumów tailleur. W dziale karnawałowym, sukien wieczorowych i wizytowych pokazano wielką rozmaitość krynolek taftowych, sukien z georgette'y, inkrustowanych koronką, lub też haftowanych strassami i koralikami. Bardzo piękne, luksusowe modele, wykonane z dzetowego haftu na podszewce z lamy. Długoletnie istnienie firmy, jednej z najstarszych firm Warszawskich, stanowi gwarancję dobroci towaru i punktualności w wykonaniu obstalunku.

U LUCJANA LESZCZYŃSKIEGO

Błękitny salon, zalany księżycowym światłem. Na ścianie — Kopcuszek w pudrowanej peruce ucieka z pałacu królewicza, zostawiając w popłochu na schodach maluchny, czerwony pantofelek. Naprzeciwko — zamaszysty kot w butach. Bajki o pantofelkach, malowane przez art. malarza Gronowskiego, zdobią ściany. — bajki-pantofelki mieszkają w gablotkach. A są tak fantastycznie piękne, że zdają się być temi właśnie, które dostawał Kopcuszek od chrzestnej mamy-wrózki. Pantofelki ze słonecznych promieni tu zmaterializowały się, jako cuda ze złoczonej skórki, rozświetlone rosą brylantów. Światło księżycyca interpretują mieniące się lamy, skórki srebrzone i przepiękny, jedwabisty lakier — przesliczna nowość, równie praktyczna, jak ładna. Nowością są również torebki, dobrze do pantofelków. Pantofelek czarny jedwabny, haftowany w srebrne kłosa, i takąż torebka Innym razem powtarza się znowu na torebce misterny, ażurowy ornament pantofelka. Na dzienny użytek czekają półbuciczki z węży i jaszczurek, mszczących się za swą śmierć przedwczesną tem, że tak drogo kosztują. Ale któżby chciał się zastanawiać nad tak poziomymi sprawami wobec pantofelków z bajki!

JAN TARNOWSKI I S-KA

W przeslicznym sklepie na rogu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej zaopatrzy się Pani nie tylko we wszystkie materiały, potrzebne na suknie i okrycia, ale też może tam nabyć przesliczną bieliznę stołową. Obrusy jedwabne, białe i kolorowe, wykończone mierzka; obrusy lniane z haftem Richelieu po cenach doprawdy konkurencyjnych. Bogato zaopatrzone działy bawełny, wełny i jedwabi. A zatem: welwet na szlafroczek, i wspaniałe velours souple na balową tualetę. „Jersey“ (trykot jedwabny, b. modny i ogromnie szeroki) na garsonkę, i brokaty na sorties de bal. Crêpe Miranda i crêpe Borjo na suknie popołudniowe. Tafty na arcy modne krynoliny. Tafty w ogromnym wyborze. Tafta gładka, tafta mieniąca się i przesliczna tafta w kwiatki, wymarzony materiał na krynoliny stylowe.

Wszystkie wyroby w sklepie Jan Tarnowski i S-ka odznaczają się pierwszorzędną jakością i smakiem.

U MAKSYMILJANA APFELBAUMA

— Nienawidzę pana Apfelbauma! — powiedziała na jednym z ostatnich pokazów modeli uroczą p. Marja Balcerkiewiczówna — Nienawidzę go, bo mię kusil! — Mam wrażenie, że wszystkie eleganckie warszawianki chętnieby powtórzyły ten krzyk serca pięknej artystki. Ach, bo jakże potężne są czary p. Apfelbauma!

Przesliczna wystawa w oknie przy ul. Marszałkowskiej 125, ledwie słabe pojęcie dać może o magji wnętrza. Dopiero w szafirowym salonie-przymierzalni, wśród puszystych skór i migotliwych refleksów luster, odbijających sylwetkę Pani, coraz to innej, bo coraz w inne futro przybranej — czar działa. Móc codziennie zmieniać skórę — cóż za niedościgłe marzenie! Mieć rano skórę karakułową, z tych dobrych, mocno zwiniętych karakułów, które u p. M. Apfelbauma umieją tak wyprawiać, że są lekkie, jak jedwabna tkanina. Popołudniu oblekać się w złotorudą skórę nur-

ków, albo w miękkie futerko kretów szarych, czy brązowych. A wieczorem!.. wieczorem otulać się śnieżną bielą gronostaj, albo srebrzystym popiołem popielic, których jasna szarość tak cudnie uwydatnia głość włosów złocistych i kasztanowatych! Kogo razi zestawienie królewskich gronostaj ze skromnymi popielicami, niech obejrzy popielice u Apfelbauma, a przekona się, że długoletnie marzenie o posiadaniu gronostaj wprawdzie nie słabnie, ale się rozdwaja; teraz się marzy i o gronostajach, i o popielicach. A oto breitszwantze, — jedno z najpiękniejszych i najkosztowniejszych futer. Rezultat wyrafinowanego okrucieństwa człowieka, który zabija owcę, aby zdobyć skórę nienarodzonego jagnięcia, skórę o jedwabistości i deseniach mory. W takim płaszczu z kołnierzem z szensyli witała Nowy Rok pani Boguchwałowa Myszkorowska. Szczęśliwa kobieta! wiele spojrzeń olśnionych i zawistnych witało jej ukazanie się w „Oazie“! W okrutnym sercu p. Apfelbauma nie znajdziesz litości nad niedolą zabitej owcy i nienarodzonego jagnięcia! Ten arcykusiciel lubuje się w wyrafinowanych perwersjach. Lansuje płaszcze z agneau rasé (czyż to nie ironja — golić jagnięta po śmierci!), z szewretek, udających lamparty (biedne kózki, lampartujące się po obdarciu ze skóry!) We wspaniałej kolekcji czarnoburych i srebrnych lisów, posiada również i lisy, farbowane... na różowo. To brzmi strasznie, a wygląda zachwycająco, nawet przy karakułowym palcie, a cóż dopiero — przy wieczorowej tualetcie! Oczywiście, że odcień różowości lisa nie ma nic wspólnego z różowością buraka, a wiele — z morelą, lub herbacianą różą. Zresztą — jest tajemnicą M. Apfelbauma.

Nic dziwnego, że tak potężny czarodziej zalicza do swych klientek najpiękniejsze artystki stolicy i najwytworniejsze przedstawicielki high-life'u. Hr. Maurycowa Potocka, wyjeżdżając do Paryża, wołała zaopatrzyć się w futro od Apfelbauma, bo wiedziała, że nawet w stolicy mody równie pięknego nie znajdzie. Najwybredniejszy z malarzy, Norblin, ubiera swą złotowłosą żonę w futra od Apfelbauma. Władysława Potocka, hr. Potworowska... A marzą o tych futrach wszystkie panie bez wyjątku.

U „LUDWIKI“

Wyłącznie paryskie modele. Piękne, jak... paryskie modele. Najostatniejsze nowości, jak: suknia cała z satin ciré, inna znowu cała ze złotej paciorkowej frendzli. Przesliczny model od Lanvin — biały, z czarnymi inkrustacjami, połączenia zahaftowane strassami. Krynoliny: ze srebrnej lamy z koronką, z tafty, wycinanej w liście; krynoliny ombrées z cieniowanego tiulu. Sorties de bal z brokatów i wszystkich odmian velours rêve, coméléon i glacier. To na wieczór. A na dzień — okrycia futrzane. Skórzane palta automobilowe, tak niezbędne wobec rozwijającego się sportu automobilowego. Amazonki w nieporównanym sznycie. Bielizna jedwabna. Najpiękniejsze dodatki do sukien popołudniowych i wieczorowych. Każdy drobiazg „Ludwiki“ ma ów nieporównany paryski „cachet“, nie dający się zaimitować. Adres: prawie vis-à-vis Leszczyńskiego — Nowy Świat 81. Można sobie od razu dobrać tualetę do pantofelków.

U MAKSYMILJANA EFRAIMA

W karnawale witryny sklepów Maksymiljana Efraima wyglądają, jak pałace z opowieści Szeherazydy. Kaskada lam w niezliczonych odmianach, Brokaty na modne casaques. Velours'y: velours-rêve — aksamit cienki, jak georgette'a; velours caméléon — aksamit mieniący się, i najostatniejsza nowość — velours glacier — aksamit wyciskany w desenie, przypominające załamy lodowców. Ten ostatni najpiękniejszy na sorties de bal, niezmiernie bogaty, dzięki srebrzystym refleksom, jakiemi się mieni. Crêpe satin najmodniejszy na suknie popołudniowe. Dwieście odcieni georgette'y. Przyznaję, że nigdy nie obejrzałam wszystkich do końca. Przy pięćdziesiątym — dostawałam zawrotu głowy, a przy setnym — wynoszone mnie zemdloną; ale wiem napewno, że jest ich dwieście, i to odcieni tak wymyślnych i najbardziej wyszukanych, o jakich tylko można zamarzyć. Olbrzymi wybór koronek jedwabnych

metalowych i ostatni krzyk — koronki woskowane (cirées) — przesłicziel Ostatnio wprowadzony dział wełn również obfituje w „kasha“ i jej warjanty. A ku wygodzie pięknych pań, sklepy aż w dwóch punktach: Długa 50 i Marszałkowska 125.

U „LUCYNY“

W rococowym salonie „Lucyny“ przy ul. Boduena 2, wiszą trzy fotografie naszych najpiękniejszych artystek w tualetach z przed dwóch i trzech lat. Wszystkie suknie robią wrażenie najostatniejszych modeli. Jest to chyba najchlubniejsze świadectwo, jakie można pracowni „Lucyny“ wystawić. Umiejętność przecucia mody, wybrania w nawale efemeryd paryskich tego, co jest naprawdę piękne i trwałe, dostosowania sukni do rodzaju urody klientki — oto tajemnice powodzenia „Lucyny“, powodzenia, oparłego na murowanych podstawach. Kilka modeli nie najpiękniejszych, bo wszystkie suknie, które widziałam, były tak piękne, że chciałoby się wszystkie nietylko opisać, lecz i nabyć. Jedno i drugie jest niemożliwe. Więc na los szczęścia opiszę suknię z czarnej dentelle cirée, z olbrzymią kokardą z woskowanej wstążki na ramieniu. Inną z velours rêve, koloru bourgogne, przesłiczielnie skloszowaną i wydłużoną na obu bokach. I jeszcze jedną — owoc benedyktyńskiej pracy: całą zaszytą drobnouchniami, jak szron, złotymi pacioreczkami. Resztę proszę obejrzyć osobiście.

można każdej chwili. Pani J. Kornobisowa, (Al. Jeruzolimskie 11), udziela również liworyzacji — uczy prywatnie. — Co do warunków bliższych, niech się Sz. Pani porozumie listownie i porówna, gdzie będą dla niej dogodniejsze.

Pani Z. Z. — Derewna. Dziękujemy serdecznie! Nawzajem przesyłamy najlepsze życzenia i prosimy o darzenie nas nadal swojemi względami. Co do wychowawczyni, sprawa nie jest tak łatwa. U nas dużo ludzi potrzebuje chleba, ale mało umie sumienie nań zarobić. Są to smutne skutki przeszłości, które, miejmy nadzieję, wkrótce miną, i młode pokolenia okażą się godniejsze zaufania. Niech Sz. Pani zwróci się listownie do p. Jahołkowskiej (Al. Jeruzolimskie 34), powołując się na nas; sądzę, że znajdzie coś odpowiedniego.

Pani M. S. — pow. Konecki. Według zasad dzisiejszego meblowania mieszkań, pierwszym warunkiem jest niezastawianie pokoi zbyt wieloma przedmiotami. Stawia się tylko to, co jest naprawdę potrzebne i użyteczne; stwarzanie modnego do niedawna „tłoku“ obecnie jest nie do pomyslenia. Dużo miejsca, bezpretensjonalność, prostota, a przede wszystkim — wygoda, oto zasady dzisiejszego umeblowania. Co do ustawienia mebli, trudno, nie znając mieszkania, głos w tej kwestji zabierać; — wrodzony smak i świadomość, co jest potrzebne i wygodne w danym pokoju, będą najlepszymi doradcami; należy tylko pamiętać, aby meble tworzyły pewną harmonijną całość, miłą dla oka, i umożliwiającą połączenie towarzystwa, wrazie większego zgromadzenia.

Przedewszystkiem, jednak, wygodę codzienną trzeba mieć na względzie — życie bowiem na efekt minęło bezpowrotnie.

* * *

Na zapytania czytelniczek, dlaczego nie-otrzymały w № 3 „Bluszczu“ dodatku mód, wyjaśniamy, że w styczniu, zamiast tego dodatku, dołączyliśmy zeszyt „Kultury Ciąła“, co zresztą było zapowiedziane w № 1 „Bluszczu“. Począwszy od lutego, dodatek „Mody i roboty“ będzie dołączany, jak dawniej, do każdego numeru „Bluszczu“, niezależnie od dodawanego raz na miesiąc zeszytu „Kultury Ciąła“.

KORESPONDENCJE

Pani J. K. — Brzezie. Za miłe wyrazy i dobre życzenia z sercem dziękujemy! Staramy się zadowolić nasze czytelniczki, a uznanie ich dodaje ochoty i energii do pracy. Przeświadczenie, że niesiemy pożytek i godziwą rozrywkę, jest nam nagrodą za trudy — więc raz jeszcze, Bóg zapłać! za dobre słowa. — Liworyzacji nauczy się Sz. Pani u p. Onichimowskiej, Krucza 19. Kurs jest miesięczny, udzielane są cztery godziny tygodniowo — kosztuje 30 zł.; o ile chciałaby Sz. Pani nauczyć się prędeży, — może brać lekcje oddzielnie — 2 godziny wyniosą 5 zł. Rozpocząć naukę

„Pieczywo domowe“

UCZY, JAK PIEC W DOMU BUŁKI, CHLEB, CIASTO I CIASTKA

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

„O przyjęciach i stole jadalnym“

ZASADY WYTWORNEGO NAKRYWANIA STOŁU DLA GOŚCI I W DNIU CODZIENNYM

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju, oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Krak. - Przedm. 99, Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu“ — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.
 Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.
 Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.